

LWÓW - LISTOPAD 1939

W numerze rozpoczynamy druk wspomnień
Adama Ochockiego z lat wojny str. 10-11

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 56341

NR 17 (889)

23 sierpnia 1987

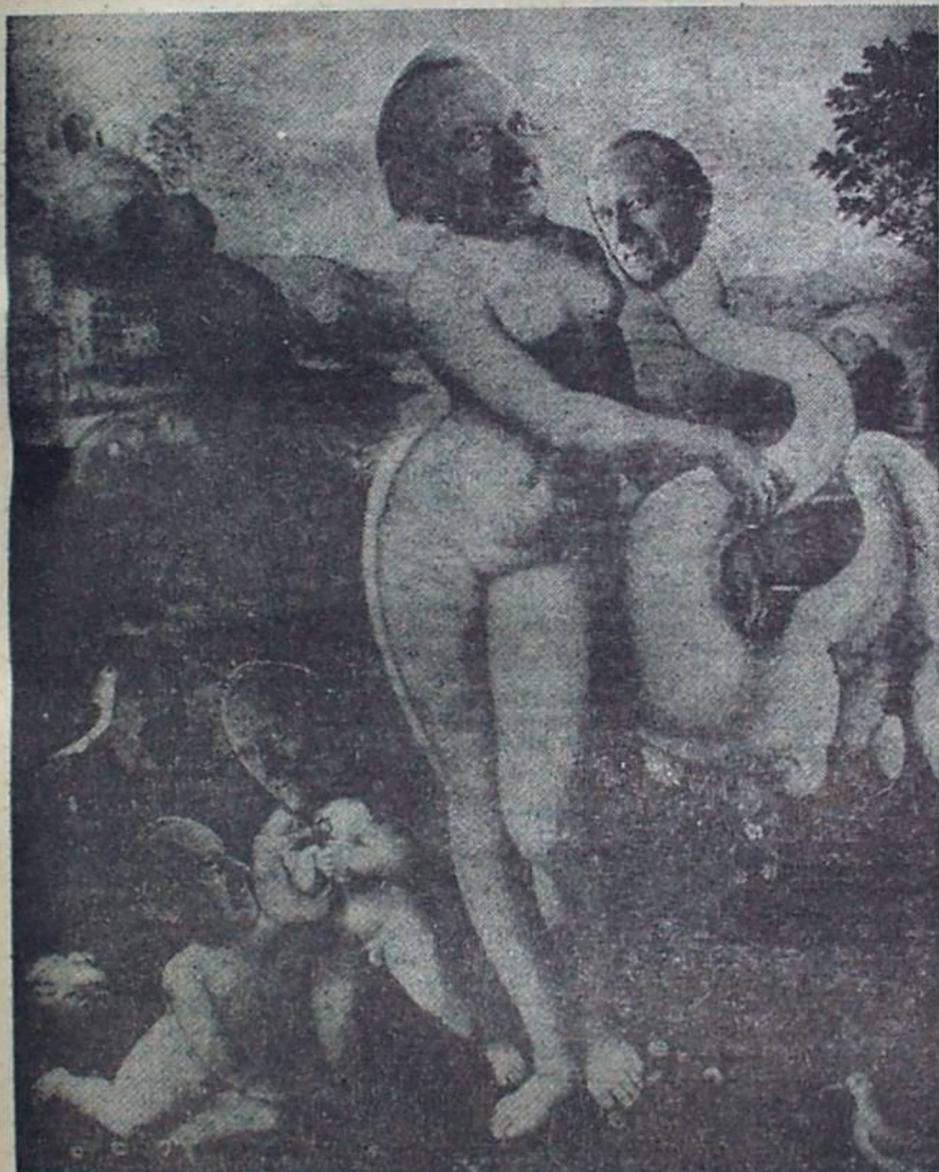
Cena 20 zł

Jutro znów
do szkoły



SADURSKI

Rys. Szczepan Sadurski



Kilka z licznych wcieleń Kazimierza Pawelka. Tutaj jako „Leda z łabędziem, jako sam łabędź, i jako dwa Amorki.

Fot. Waldemar Stępień

Kazimierz Pawelek:

„Dobrze się czuję w czapce blazna”...

str. 4—5

Wpuszczeni w kanał?

Marfa Denys

Siedem lat mozolnie, przy pomocy niezliczonych maszyn, ale za to wielotyśięcznych rak, przekopywano się przez torfy i błota Polesia Lubelskiego. W tempie 20 kilometrów rocznie ciągnięto nitkę kanału między Wieprzem a Południową Krzną, między Borowicą w b. powiecie krasnostawskim, a Międzyrzeczem Podlaskim w b. powiecie radzyńskim, oddalonymi od siebie o 140 kilometrów. Ten największy w Polsce, budowany w latach 1954—1961, system melioracyjny miał m. in. przywrócić rolnictwu co najmniej 70 tys. ha nieużytków, dać 265 tys. ton siana rocznie, wykarmić 65 tys. krów. Intensyfikując gospodarkę, budowę dróg, elektryfikację, sieć handlową, szkolnictwo, oświatę rolniczą, budownictwo mieszkaniowe i inwentarskie, miał kanał Wieprz-Krzna zahamować regres demograficzny tego regionu kraju. Ba, miał być nawet magistralą komunikacyjną! Od dnia otwarcia kanału, 8 października 1961 roku, minęło dobre ćwierćwiecze. Co przyniosła woda kanałem tym płynąca? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, wybrałam się do Dorohuczy. Dlaczego tam? Bo to właśnie dorohuczanie pierwsi stanęli do budowy kanału wzywając do czynu wszystkich poleskich gospodarzy.

JEST lipcowy poniedziałek 1987 roku, godzina dziesiąta. Z piekarni w Trawnikach przywieziono do tutejszego sklepu spożywczego chleb. Zeszło się kilka osób, że szałek migiem powędrowały bochenki, puszki ze skumbrią, oranżada. Wszystkim się spieszyło, oczekiwano przyjazdu kogoś z PZU kto miał ocenić szkody, jakie w poprzednich dniach wyrządził grad na plantacjach tytoniu. Pytam dorohuczanie o starą szkołę, która, odremontowana, niewiele się różni od nowo wzniesionego budynku dorohuskiej oświaty.

Właśnie tu, w tej starej szkole — konfrontuję z lekturą ówczesnej prasy — bodajże 6 lipca 1954 roku, tuż po ogłoszeniu Uchwały II Plenum KC PZPR „W sprawie likwidacji odlogów, zagospodarowania i lepszego wykorzystania łąk i pastwisk”, jak również roz-

poczęcia budowy kanału Wieprz-Krzna, odbyło się tłumne zebranie społeczności wsi.

W obecności wiceprzewodniczącego PWRN, Jerzego Popki, zagajal dorohuski sołtys, Jan Czerniak. Charakteryzując pozytywki płynące z budowy kanału powiedział wtedy, że na ten cel państwo przepłaciło pół miliarda złotych i że „kanał ten będzie przebiegał przez ziemię lubelską, gdzie narodziła się władza ludowa”. I że „kanał przyniesie chłopom tysiące hektarów nowej ziemi ornej z łąk”. a Feliks Roczon, tutejszy gospodarz, dodał, że „nasze dzieci i wnuki będą wspominać, że my, ich ojcowie i dziadkowie, oraliśmy pierwszy udział w budowie wielkiego kanału Wieprz-Krzna”. Potem ktoś dorzucił mobilizująco: „uważam, że my, chlopi

Dokończenie na str. 9

Amikeco trans la limoj — przyjaźń poprzez granice

Piotr Beck

K SIEŻA i myśliwi, Chińczycy i Afrykanie, muzułmanie i protestanci, młodzi i starzy — cała gama strojów, kolorów skóry i życiowych postaw wystawiona w gorączkowym chaosie na próbę esperanckiej życzliwości. 72 Światowy Kongres w Warszawie... Serdeczne pochylenie nad drugim człowiekiem, tak bezkrośko zarzucone w pośpiechu naszego codziennego życia — tutaj w Pałacu Kultury i Nauki, znajduje swoje odrodze-

nie. Ludzie obejmują się jak starzy przyjaciele, wymieniają uśmiechy i przyjazne gesty, nikt z potrzebujących nie odchodzi bez pomocy. Podczas o-wacji na cześć wnuka twórcy esperanta, pana Ludwika Zaleskiego-Zamenhafa, tak wielu uczestników kongresu płakało!

Pozornie utopijna, dręcząca człowieka od czasów Platona idea fixe znalazła swój realny wymiar. Świat poznał uniwersalny język. Ten język żyje i roz-

wija się. Łączy i zbliża ludzi z różnych kontynentów. Japonka pochyla się w swobodnej rozmowie z Rosjaninem (ilu Japończyków zna rosyjski i odwrotnie?). Chinka z Arabem, Amerykanin z Hindusem. Sześć tysięcy delegatów przybyło do Warszawy, by praktykować swoje tygielne hobby.

„Wiadomo, że język to potęga — powiedział w rozmowie z Hanną Rynkowską przewodniczący Światowego Związku Esperanto, Humphrey Ton-

kin. — Ktoś, kto umie posługiwać się językiem, może panować nad innymi. Tak jest choćby z językiem angielskim, który stał się dzisiaj językiem polityki i handlu. My, esperantyści, mówimy, że należy usunąć ten element językowej władzy w komunikacji międzynarodowej. Walczymy o to już od stu lat. Wielojęzyczność jest stanem naturalnym, a każdy człowiek ma pra-

Dokończenie na str. 8

z notatnika

8 VIII. Znakomity tekst Stanisława Jadczaaka pt. „Ostatni Żydzi w mieście” ukazał się na łamach magazynu tygodniowego „Sztandaru Ludu”. Chodzi o Włodawę w woj. chełmskim, miasto, w którym w 1981 r. 70 procent mieszkańców (to jest blisko sześć tys. osób) stanowili właśnie Żydzi. Dziś przebywa w nim tylko pani Sara Ader. I ona zapala w tym mieście ostatnią szabasową świecę.

Przypadkowo trafił mi właśnie w ręce numer tygodnika „Czarno na białym” sprzed pół wieku, dokładnie numer 26 z 19 grudnia 1937 roku, w dużej mierze poświęcony pamięci Andrzeja Struga, który zmarł 9 grudnia (wkrótce więc pięćdziesięciolecie). Znajduję w nim felieton pt. „Wilkołacki chuligaństwo”, a w nim cytuję z „Kurieru Poznańskiego” z 12 grudnia Dziennik tak komentował pogrzeb wielkiego pisarza (posłuchajmy, jak wówczas pisał kołtun poznański!):

„O silnym smroku kondukt żałobny wszedł w centrum miasta i musiał przejść przez Nalewki. Wyczekiwały go tam tłumy publiczności miejscowej, stojące na trotuarach. Ten udział świata żydowskiego w pogrzebie pisarza polskiego — udział zarówno w pochodzie jak i w towarzyszeniu przejściu pochodu — był zdumiewający i to wprost stał się na widzu”.

A kołtun warszawski na łamach „Warszawskiego Dziennika Narodowego” dorzucił:

„Pogrzeb wybitnego pisarza polskiego Andrzeja Struga wykorzystali Żydzi jako pozor do zgromadzenia w Warszawie osobliwej zaisie manifestacji prezentującej nam silę swoich zorganizowanych bojówek. Tragiczny obrzęd stał się lakas koszmarna, wroga polskiemu mieszkańcom stolicy demonstracją żydowską. Nie wahamy się pisać o tym mimo świeżej jeszcze mogiły — Żydzi to bowiem znieważyli wczoraj majestat śmierci”.

Tygodnik „Czarno na białym” tak skwitował te wypowiedzi:

„Otoż prawdą jest, że w obrzydliwym pochodzie żałobnym wzięło udział ponad 25 tysięcy ludzi, ponad 100 chorągwi polskich organizacji kombatanckich i polskich organizacji robotniczych ze w tym Żydów reprezentowały delegacje czterech robotniczych organizacji Bundu, Poale Sjonu, Freiheitu i Histadruthu, co stanowiło właściwie drobną część tłumy uczestniczącego w pochodzie — prawdą jest również że w dzielnicy żydowskiej: tak jak w polskiej ewangelii trasy szosy obrzydliwie tłumy gładowały kółka przechodzącej lawecie z tramwaju Wielkiego Polskiego Pisarza oraz że cytowały to w największej ciszy i skupieniu i z najwyższą czcią słowa o znieważeniu majestatu śmierci i o zorganizowanych bojówkach żydowskich jest prawdziwym, przed którym endeów i endeusów w ich własnej niewiedzy nie może powstrzymać nic, zmiłnie świeżej jeszcze mogiły”.

Stojąca nad grobem Sara Ader z Włodawy, pięknie opisana przez Stanisława Jadczaaka, i te cytaty sprzed pół wieku! Sprzed pół wieku i z zupełnie innej epoki! A przecież są tacy, którzy dzisiaj usiłują ową epokę przedstawiać jedynie w promiennych barwach.

Likwidujemy konsekwentnie białe plamy w naszej historii. Oczywiście nie, o czym piszę, nie jest białą plamą dla profesjonalnych historyków, ale jakie pojęcie o międzywojniu na młodzie, dorastające pokolenie?

13 VIII. Odwoziłem wczoraj żonę do sanatorium w Iwoniczu-Zdroju. 337 km tam i tyleż z powrotem, można więc z powodzeniem w ciągu dnia tę trasę przejechać, nawet zatrzymując się tu i ówdzie.

Narzekały na zaopatrzenie sklepów w naszym województwie, ale ani w woj. tarnobrzaskim ani w rzeszowskim nie jest wcale lepiej. W rzeszowskich „Delikatessach” — z myślą o sobie — kupiłem jakieś ochłapy, tamie weszła, ale po przyjeździe do Lublina musiałem je wyrzucić na śmietnik. Ze też „Delikatessy” (!) nie wartyda się takiego świństwa sprzedawać? Kierownik (kierowniczką) nie wie, czyta handluje? A przecież ten łowar proponuje się ludziom, a nie zwierzętom!

W Domaradzu (nawet sympatycznie) — restauracja GS. W jadłospisie: kołtety mielone — z cielęciny i z baraniny. Wybrałem te pierwsze. Skoszlowałem i zostawiłem na talerzu. Słone, nie dosmażone. Nie będę pisał o patriotyzmie (trasa prowadzi do i od granicy w Barwinku), ale co to za

kucharka, która nie umie przyrządzić najwykleszych kołtetów siekanych?

Znakomita kawa wypilem natomiast w Iwoniczu (nie Zdroju). Mała, prywatna kawiarenka o nazwie Gruszczyka. Z trudem ją zauważyłem, bo reklama skromniutka. Na wieksza, jak się dowiedziałem, nie zgodziły się władze. Troška o estetykę naszych szos? Nie przesadzajmy, gastronomicznych lokali i lokalików w nadmiarze nie mamy, a kierowca też człowiek, kawę czy pepsi albo najwykleszą sodową chciałby w podróży wypić. I należy mu to ułatwić.

Drobiazgi? Truizmem jest stwierdzenie, że z drobiazów składa się życie. Po co jednak to krótkie życie utrudniać?

Na południe od Rzeszowa krajobraz za przepięknie, ile by stąd można wyciągnąć dewiz od turystów, gdyby ten teren odpowiednio zagospodarować! A ludzie budują się, stawiają nawet domy-kolosy, nie zawsze estetyczne. Gdyby tak dobrze policzyć, to z baza hotelowa nie byłoby wcale tak źle. Przedtem jednak trzeba zapalić zielone światło dla prywatnego hotelarstwa, skromnego, nawet na kilka, kilkanaście łóżek. Nie wierzę, aby chętnych nie było. Konkurencja dla państwowych hoteli? A ile ich w tych stronach jest? Bez rezerwacji trudno zdobyć pokój, niełatwo zresztą. Potrafimy organizować dziesiątki, setki narad w sprawie rozwoju turystyki, ale zwykle kończy się tylko na gadaniu. Potem zdziwienie, że Polak jedzie odpoczywać w innych krajach, po kilkanaście, jeśli nie więcej, godzin spędza przy granicznych szlabanach, ale i tak wyjdzie na swoje, bo dla wielu zagraniczne wojaże to sprzedać-kupić, nie tylko nie stracić, ale i zarobić. Oczywiście wpływ na taki właśnie model wypoczynku (słowo wypoczynek należałoby w wielu wypadkach ująć w cudzysłowie) mają określone braki na rynku krajowym, no i zawyżony kurs dolara. O tym ostatnim dobrze wiedzą obywatele jugosłowiańscy, którzy w odróżnieniu od naszych, ciągną właśnie na północ, nie na południe. Oczywiście każdy kraj może aktywizować swoje służby celne, wymyślać bardziej czy mniej bzdurne przepisy (słynne kaucje węgierskie w dewizach), przyjaźni między narodami to nie wzmacnia, wzrost przeciwnie — rodzi nowe antagonizmy, a na tym wszystkim cierdla tylko ci, którzy rzeczywiście chcieliby w cieplejszych krajach odpocząć.

Prowadzimy międzypaństwowe rozmowy handlowe na wysokim szczeblu, pewne nadwyżki towarów, zwanych potocznie rynkowymi, między sobą wymieniamy, ale przecież nigdy nie zaharują one prywatnego eksportu-importu! Można go ograniczać, prowadząc mądra politykę celno-dewizową, ale z drugiej strony nie należy wpaść w przesadę i patrzeć na siebie wilkiem. Oni przyszoła nam, to my im. Kto kogo pierwszy wzięł do wojaży, prawda?

14 VIII. W Iwoniczu-Zdroju spotarżam uparcie to „Zdroju”, bo jest i wioska! Iwonicz, odległa o trzy kilometry od Iwonicza-Zdroju) kupiłem tygodnik „Podkarpacie”, ukazujący się w Krośnie. Kilka lat nie miałem tego pisma w ręku i muszę obiektywnie stwierdzić, że nie podobam się w nim tylko krój czcionki tytułowej, która na mój gust jest mało czytelna, ale chyba wszyscy już się do niej zdążyli przyzwyczaić.

Pismo redagowane jest bardzo żywo, nie zasklepia się we własnej wojewódzkiej problematyce, ale, i to na pierwszej stronie, zajmuje się nawet projektem szwajcarskim dotyczącym wzniesienia 15-kilometrowego mostu powietrznego nad Cieśniną Gibraltarską i połączenia nim Europy z Afryką. Zwracam uwagę na tę wiadomość, bo są w Polsce tygodniki, które widza tylko od-do, to znaczy od jednej do drugiej rogatki wojewódzkiej.

Pismo redaguje zespół zaledwie dziesięcioosobowy (brak zastępcy redaktora naczelnego, może vacat?), ale praca w nim dwie, a nie jedna, korektorki. I dobrze: rola korekty jest,

często niedoceniana, a przecież kształt tego, co mamy przed oczyma, w dużym stopniu od niej właśnie zależy...

15 VIII. W „Tygodniku Powszechnym” felieton Marka Skwarnickiego, który trochę koresponduje z tym, o czym ja wyżej napisałem. „Od pewnego czasu — stwierdza autor — tropie w prasie oraz rozmowach towarzyskich Cudzoziemca [...] Ow pierwszy obcokrajowiec pojawia się w takich zwrotach jak: «gdyby to widział cudzoziemiec, zdziwiłby się bardzo», albo: «...gdyby to ułazył cudzoziemiec, powiedziałby, że to bzdura». Niekiedy używana jest liczba mnoga i wtedy słyszy się lub czyta, że zagraniczni turyści wzduszają tylko ramionami, albo: «...co na to powiedzą zagraniczni goście, gdy przyjadą».

Natomiast — pisze dalej Skwarnicki — cudzoziemca „głupola” spotyka się zazwyczaj w jego własnym kraju, gdy sami wyjeżdżamy za granicę. „Ponieważ jego wrodzona cecha jest brak fantazji i niechęć do codziennego ryzyka, nie potrafi on pojąć, jak można np. planować letnie wakacje w Grecji lub Hiszpanii nie mając na to dostatecznej ilości pieniędzy. Mało tego, nie rozumie on, dlaczego te wakacje nie tylko powinny się zwrócić, ale ewentualnie przynieść jeszcze jakiś (nie tylko zdrowotny) pożytek”. Do miejscowych przepisów cudzoziemiec stosuje się bez szemrania. Polak się dziwi „dlaczego ów Cudzoziemiec kupuje mniejsze auto, chociaż stać go na większe, albo mając auto i benzynę jeździ do pracy metrem lub na rowerze?”

Każdy ma jakieś swoje własne doświadczenia. Ja kiedyś w czasie pobytu w RFN trafiłem do pewnego prywatnego domu. Gospodarz zapowiedział, że zaraz pójdziemy na obiad, ale... Wyciągnął z barku kilkanaście butelek z kolorowymi etykietkami. „Czego się pan napije?” — zapytał wskazawszy na baterie. Nie wiem dlaczego, ale wybrałem miętówkę (szroga, prawda?). „Idziemy na obiad, więc będzie czas na wypicie” — pomyślałem. Obiad był jednak, nie licząc piwa, bezalkoholowy. Inna rzecz, że pół litra „Moskiewskiej” kosztowało 75 marek, czyli wówczas około 40 dolarów. Nie sadzę jednak, aby owa cena miała jakiegokolwiek znaczenie. Po prostu tam jest inna niż u nas tradycja. Bo my, gdy gościmy cudzoziemca, potow! jesteśmy uśmieć go w sztok nawet w ekskluzywnej „Victorii” (tej warszawskiej, nie lubelskiej, oczywiście). Zapożyczmy się po uszy, ale niech, drań, widzi, że węża w kieszeni, nie trzymamy!

Kiedy już jestem przy „Tygodniku Powszechnym”... W tym samym numerze felieton Józefa Hannelowej, która słuszenie zwraca uwagę, że na koloniach dla dzieci rzadko kto opowiada im „ciekawe opowieści przy ognisku, od których płoną uszy? Kto z nimi śpiewa na wędrowce? Gdyby wszyscy ci od nich trochę starsi — nie ciocie i nie babcie, lecz ci koleczy imponujący wiekiem i umiejętnością, ci najlepsi, teraz właśnie wędrujący ku Jasnej Górze, we wspólnotach radosnych i dzielnych, każdy z osobna zechcieli być przewodnikami małych ludzi nie rozbudzonych, zielonych, pustych jeszcze w środku...”

Zwracam uwagę na sformułowanie: „Ci najlepsi, teraz właśnie wędrujący ku Jasnej Górze...”. Dla mnie osobiście najlepszymi nie są ci wędrujący ku takim czy innym obrazom nawet przez duże „O”, ale ci pracujący, myślący o tym, aby ich wraza całego kraju przyniosła jak najwięcej pożytku. Wiem, że powyższe brzmie jak slogan, ale o pielgrzymkach swoje zdanie posiadam, którego nie wyrażę, aby niczyich uczuć nie urazić. Niech jednak pani Hannelowa nie dzieli ludzi na najlepszych i (w domyśle) najgorszych, bo to nie po chrześcijańsku. Zresztą wszystko zależy od punktu widzenia!

A z dziećmi na koloniach spotykać się trzeba, rozmawiać z nimi po ludzku. Przy ognisku można też opowiedzieć o stosach, które nigdy w Europie płonęły...

16 VIII. Wczoraj wieczorem trzy filmy w dwóch programach TV. Miałem trochę wolnego czasu, chciałem wszystkie obejrzeć i muszę powiedzieć, że rozczarowałem się w 66,6 procentach.

„Był i tak” Panna słonowil może wawelacie w 1981 r., kiedy powstał, ale dzisiaj, po sześciu latach, gdy świeżo jestem po lekturze niektórych publikacji ze współczesnej prasy radiodzieckiej, oglądałem go chwilami z najwykleszym zdumieniem. Ale piosenek z minionego okresu, a i owszem, słuchałem. Nie ukrywam, że z sentymentem!

Natomiast pokazany w drugim programie film Stanisława Barei pt. „Małżeństwo z rozładku”, nakręcony w 1986 r., mimo że występował w nim znakomity aktorzy, przerażał wprost banałem.

Najbardziej wydał mi się interesujący film pokazany w kinie nocnym — „Szalony Henry” produkcji NRD. Zastanawiam się tylko, dlaczego pokazano go właśnie o tej porze? Co w nim było takiego gorszącego? A może na Woronicza taka piosucha, że żadnego filmu z tzw. pogranicza albo żadnego horroru nie można już w kinie nocnym wyświetlić? Rozumiem, że leśno, urlopy, ale przecież ktoś musiał pozostać na miejscu...

Chociaż, czy ja wiem? Mój indywidualny gust nie musi być przecież gustem wszechkier telewizorów...

17 VIII. A ja jestem przeciw! Najpierw „Kurier Lubelski” zaczął tę swoją nową „akcję” propagować na własnych łamach, a w ostatnią sobotę oblał się w telewizyjnej „Panoramie Lubelskiej” redaktor Wojciech Klusek i temat, już ustnie, pościagnął.

Wojtkowi chodzi o to, aby zmotoryzowani lublinianie, będąc na szosach innych województw bądź na szosach zagranicznych, pozdrawiali się wyciągając rękę z odgiętym kciukiem, co ma symbolizować literę „L” (L, jak Lublin). Osobiście nie lubię pozdrawiania się przez wyciąganie ręki i odchylenie tych czy innych paleców, bo dobrze pamiętam, jak się przed laty pozdrawiali najędźcy, ale nie bydles potrzebny. Kierowca powinien cały czas trzymać obie ręce na kierownicy, patrzeć na szosę, a nie obserwować przejeżdżające obok niego pojazdy i ich... tablice rejestracyjne. Tego wymaga bezpieczeństwo wszystkich użytkowników, łącznie z pieszymi!

Poza tym nie każdy człowiek, który prowadzi samochód, czyta „Kurier Lubelski”. Możliwe więc z powodzeniem, choć też będzie musiał wówczas odwracać rękę od kierownicy, postukać się w czoło, albo, co jest bezpieczniejsze, wywalić w odpowiedzi na ów gest „L” — jeźdź.

No i z jakiej to racji mam podziwiać faceta, którego nie znam, którego zapewne nigdy już nie zobaczę? Tylko dlatego, że tablica rejestracyjna jego samochodu zaczyna się na literę „L”? (A gdzie Łódź, Łomża, Łęczyca i Leszno? Tam też jest „L”?)

Ludzie, nie dajmy się zwariować! Wynudków na szosach i tak mamy w nadmiarze. Proponuję szefowi lubelskiej milicyjnej drogówki, p. ppłk. Mieczysławowi Gustawowi, aby porozumiał się ze swymi kolegami w innych województwach: niech oni każda funkcjonariuszom MO obdarzą mandatami po 1000 złotych tych, którzy w czasie jazdy ów gest wykonują. A swoją drogą dobrze by było, aby na ten temat właśnie p. Gustaw wypowiedział się publicznie. Może umienili się przepisy i dziś obowiązkowo trzeba prowadzić samochód tylko jedną ręką? A może nawet jednym kciukiem?

A swoja droga, co będzie, gdy w innych województwach podchwyca piosenki? Znaczenie trudniej niż literę „L” jest pokazać literę „W” (trzeba drugą ręką podtrzymywać palec). Nie wspominał już o literze „Z” czy „R”...

Napisałaby to, co wyżej, prezydent Wojtkowi gest Kozakiewicza. Na mnie, zmotoryzowani lublinianie, nie liczył.

Inna rzecz, że „Kurier Lubelski” ma wiele dobrych pomysłów, jak choćby ten, że informuje o ukazywaniu się kolejnego numeru „Kamenu”. My w „Kamieniu” również i obecnych i byłych kurierów na ogół lubimy i cenimy; w tym na przykład numerze można przeczytać o Kaziu Pawelku, a w następnym — o Leszku Gnoście. Tym bardziej więc piszący te słowa ma prawo zaalarmować: uwaga, nie wypa!

M. A. Jaworski

Co się dzieje czyli „Documenta 8”

Ireneusz J. Kamiński

PIEKNE jest miasto Kassel w RFN, ale najpiękniejsze i najciekawsze bywa wówczas, kiedy co cztery-pięć lat organizuje słynne „Documenta”, czyli międzynarodową wystawę sztuki współczesnej. Ciągną tu wtedy artysty, tysięczne rzesze publiczności, na Opernplatzu wyjątkowo słodko śpiewa Armia Zbawienia, której udaje się nawet czasami zagłuszyć porykiwania punków i wzruszyć Murzynów — przebranych w cywilne ubranka żołnierzy US Army, stacjonujących w okolicznych leśnych ostępach. Przewiduje się, że tegoroczne „Documenta 8”, czynne od 12 czerwca do 20 września, obejrzy około 400 tys. osób, co cieszy władze ze względów szlachejnych, kulturalnych, no i takich bardziej zwyczajnych, symbolizowanych kwotą 30 mln marek, które publiczność zechce wydać w Kassel: na bilety wstępu do dwóch głównych obiektów „Documenta”, Museum Fridericianum i Orangerie, a przede wszystkim na hotele, różne usługi turystyczne, kielbaski z rusztu (m. in. krakowskie), piwo, pamiątki, książki, katalogi... Z tego właśnie handlowego poletka zbierze się aż 27 mln marek, w których blasku wręcz roztopi się kwota ośmiu milionów, jaką wydano na przygotowanie obecnej wystawy, wzniesienie konstrukcji rzeźbiarskich w różnych częściach miasta, na performances, projekcje filmów etc.

Zaiste, Kassel 1987 roku to prawdziwy ogród sztuki, obsadzony drzewkami rodzącymi złote jabłka.

Trafiliem tam 12 lipca, w samą porę. Trzy dni później, o godzinie 9, może kilka minut wcześniej, na parkowej łące przed budynkiem Orangerie wylądował helikopter, z którego wysiadł prezydent RFN, Richard von Weizsäcker, w towarzystwie żony Marianny i syna Andreasa, zresztą asystenta w monachijskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Kiedy grupka oficjeli witających głowę państwa przegladziła już włosy rozwiane za sprawą śmigłowca, prezydent powiedział: „Zrobiłem dużo wiary”, co oczekujący przyjęli ze zrozumiałą wesołością. Śmiał się nadburmistrz Kassel, pan Hans Eichel, śmiał się pan Manfred Schneckenburger, dyrektor artystyczny (Kunstleiter) „Documenta 8”, człowiek liczący około 43 lat, działający zwykle w Kolonii, lecz znany dobrze nad Fuldą, jako że w 1977 roku był szefem „D8”.

Weizsäcker przybył jako osoba prywatna, miłośnik sztuk pięknych, który zdążył już poznać trzy wcześniejsze edycje imprezy.

Prezydent wypił kawę w Orangerie i obejrzał ekspozycję usytuowaną w tej osiemnastowiecznej budowli, luszczącej się tu i ówdzie zaraz po pięknie kosztownym remoncie konserwatorskim.

Było słonecznie, pogodnie, sympatycznie.

Aż tu nagle, jak spod ziemi, pojawiło się w tej milej scenerii kilku rosyjskich i młodych facetów, ubranych w żółte uniformy, i nita się Kunstleiter Schneckenburger obejrzał, już został skuty w kajdanki Początkowo szarpał się nawet troszeczkę, wreszcie zmiękł, ba — próbował dowiepkować, ale w końcu i tej aktywności poniechał i słuchał cierpliwie zarzutów, jakie postawili mu napastnicy w wymyślonych przez się rolach i mundurach „Kultur-Polizei”. Obwiniali oni swojego więźnia, że program „Documenta 8” przygotował w strachu przed ryzykiem, poszedł na kompromis między komercją a sztuką lat sześćdziesiątych, no i — drań grasbrzydły — po macoszemu traktuje performansy, czyli takich jak oni działaczy artystycznych.

Mimo że zniewolony, Schneckenburger nie tłumaczył się przesładowcom, co nie budziło ich sympatii. Wreszcie, na skutek interwencji swojego asystenta, doktora Wenzela Jacobsa, otrzymał wolność — ale dzięki wezwaniu na pomoc straży pożarnej, która przecięła kajdanki specjalnymi nożycami do metalu.

„Kultur-Polizei” osiągnęła przecież swój cel zasadniczy: trafiła na łamy gazet i do telewizji, uzyskując okazję do publicznej prezentacji swojego programu. Otóż formacja ta, której tron stanowią bodegaj grupa „Minus Delta 1”, próbuje uprawiać coś w rodzaju „praktycznej krytyki sztuki”, posługując się klasycznymi metodami współczesnej policji: edywizacji „podejrzanym” i gromadzenia informacji o nich w komputerze, po bezpośredniej interwencji przy pomocy siły. „Kultur-Polizei” zamierza śledzić i karać oszustwa oraz „przejawy bandytyzmu” na polu kultury, mając ponad niemal dwustu współpracowników w różnych krajach. Jej występ w Kassel — który jakoś nie wzruszył prezydenta — miał charakter premiery.

Początkujący „policjanci” zapewniają, że niewątpliwie doskonalsze swoje umiejętności, więc przed zaskakującą zachodnią otwiera się nowa i dynamiczna perspektywa: krwawego mordobicia w imię wartości, które zdefiniują poszczególne państwa przebrani za artystów. Wydaje się, że snarhistyczne hasło z końca lat sześćdziesiątych: „Precz z państwem, abym była wolna dla wszystkich!”, doczekało się reinterpretacji i brzmi obecnie: „Wolność dla sprawiedliwych, takich jak my!”.

„Kultur-Polizei” kontaktowała się w Kassel z użytkownikami wielkiego białego busa z napisem „Ponton”, który mieścił całkiem dobrze wyposażone studio radiowe, Wehlauf stawił bazę „Inter-

national Radio Syndicat”, czyli okazynego związku pięciu tzw. niezależnych rozgłośni z Holandii, Włoch, Francji, RFN i Austrii: Radio Rabotnik TV, Radio X, Ponton, Bellevue i Onda Rossa. Syndykat uruchomił coś w rodzaju „mikrofonu dla wszystkich”, zachęcając przechodniów do zwierzeń, które



Eric Fischl: Portret psa, 1987. Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku.

Fot. Credit Zindman (Fremont)

następnie emitowano w przestrzeń światła naszego — początkowo nielegalnie, wreszcie za zgodą polityki i szefów „Documenta 8”, inteligentnie kojarzących poczynania młodzieży z reklamowym interesem wystawy. Można było gadać, co komu ślina i frustracja na język przyniosły, nie narażając się na żadną cenzurę czy represję, o czym z dumą informowali: „artyści-reporterzy” radiowi w liczbie 30, jeden technik (dwóch w rezerwie) i satelici anżambli, w tym pewna młoda Polka na drodze z Paryża i z powrotem. Zatem ja powiedziałem: że działalność Syndykatu budzi sympatię, ale w gruncie rzeczy jest to zabawa dzieciaków jakby już przerośniętych, takie pokazywanie języka protagoniście establishmentu, który silny pod względem ekonomicznym, może sobie pozwolić na różnorakie wantyle bezpieczeństwa. Niech młodzież wykrzyczy się w eter, aż para z niej ujdzie, tymczasem sypniemy jej nawet nieco grosza z funduszy na działalność kulturalną — chociaż możni systemu, a wy, moi drodzy, dajcie się na to nabierać!

Co powiedziawszy — kto mnie słyszał?! — poprosiłem o rękę przedstawiciela „amsterdamskiej radiostacji „Rabotnik TV” (nazwa zapisana w języku rosyjskim i ostempiowana czerwoną gwiazdą), by stwierdzić, że dłoń chłopaka jest miękka i delikatna jak postadki księżniczki, której „rodowód klasowy przetestowano przy pomocy ziarenka grochu pod stertą materacy czy pierzyna. Nie zdążyło wanie to przecież nadmierne, albowiem przywykłem, że w imieniu robotników i dla ich dobra występuję na ogół ludzie o aksamitnych rękach.

Może klucz do tej sprawy mieścił się w udolnych wotach radiowców, która rozpoczynając się introdukcją: „Do narodu niemieckiego i otaczających się, do was głusi i niemi”, proponowała niezależne „życie bez mediów”, polegające na tym, by: iść do łóżka, spacerować, marzyć, śrać, z okna patrzeć, robić miłość etc... Faktycznie, lepiej i bezpieczniej jest miłość uprawiać, niż świat na serio traktować. „Ponton” and Co. dawał też w Kassel performance. Tego typu „przedstawień” było tam rzesza mnóstwo, zatem miały się z celem zarzuty stawiać we Schneckenburgerowi przez „Kultur-Polizei”.

Co tu zresztą deliberować nad sprawą, która wycepała się bodaj 10 lat temu, kiedy performance osiągnął swoje apogeum. Do przeszłości należy też najlepszy okres akcji i pokrewnych działań o charakterze rytualnym. Prawdą wszak pozostaje, że występy naszej „Akademii Ruchu” wzbudziły w Kassel znaczne zaciekawienie i uznanie. Grupa pojawiła się tam w czerwcu, więc jej nie widziałem, ale miesiąc później wysłuchałem na temat „Akademii” sporo pochlebnych opinii.

Jak przedstawia się profil ideowy „Documenta 8”, zakreślony przez Schneckenburgera, którego wspomagał komitet doradczy w składzie: Vittorio Fagnone z Mediolanu, Edward Fry z Filadelfii, Wulf Herzogenrath z Kolonii i Armia Zwolta z Monachium.

W wydrukowanych założeniach programowych imprezy Schneckenburger zaznaczył, że nie majurując w sztuce osowy lat osiemdziesiątych jakiejś wyraźnej dominacji stylistycznej czy wyróżniającego się paradygmatu, spróbował ująć problem w perspektywie pod nazwą: „historyczny i społeczny wymiar sztuki”. O ile poprzednie wystawy prezentowały refleksję nad mediami, twórczość autotematyczną (1977) osobiste doświadczenia, malarstwo ekspresyjne (1982), o tyle „Documenta 8” koncentruje się na dialogu sztuki ze strukturami społecznymi: osadzonymi już w historii, współczesnymi i możliwymi do przewidzenia. W rezultacie wystawę podzielono na dwie zasadnicze części: w Museum Fridericianum zgromadzono malarstwo, rzeźbę, environment i videoart — o treściach zredagowanych w relacji z mitami, polityką, problematyką społeczną i różnymi utopiami; natomiast w Orangerie pokazano, czasami na sposób ironiczny, przechodzenie sztuki w zwyczajne życie, także na ma-

teriale z zakresu wzornictwa i architektury, przy czym inwencje 12 autorów występujących w tym ostatnim dziale zdyscyplinowano precyzyjnie określonym tematem: muzeum. Ponadto oddano artystom do dyspozycji place, ulice i park miejski (Karlsau). Zrealizowane tam rzeźby (konstrukcje, budowle) korespondują ideowo z niektórymi wątkami, jakie zarysowały się w obu wspomnianych ekspozycjach.

Komisarz podkreślił, że podobnie jak w architekturze i wzornictwie przemysłowym obserwuje się wyraźną opozycję wobec czystego funkcjonalizmu, tak w sztuce widać jasno tendencję do rozpoznawania form społecznych.

Kilkustronicowy tekst kończy stwierdzenie: „Późne lata osiemdziesiąte nie są okresem dynamicznej awangardy. To czas, w którym sztuka porządkuje siebie samą, rekombinuje istniejące strategie. Autentyczności tej sztuki nie można mierzyć stopniem innowacyjności w obszarze historii stylów i form. Należy na nowo rozpatrzyć pojęcie autentyczności w sztuce: permanentne przekraczanie granic czy siła i intensywność indywidualnej pracy ponad całą linearną historię sztuki. „Documenta 8” naświetla tę sytuację”.

Nieskromnie ośmielałem się zauważyć, że do podobnego wniosku i ja doszedłem, przed laty...

W jakim stosunku pozostają owe tezy i założenia do samej materii wystaw i pokazów? — oto jest przecież problem najważniejszy.

W imprezie uczestniczyło około 250 artystów z 24 krajów, przy czym pod względem ilościowym dominują Niemcy z RFN i Amerykanie, na dalszych miejscach widoczne są grupy Francuzów, Włochów, i Anglików. W Istocie mamy więc do czynienia z manifestacją sztuki zachodniej, euro-amerykańskiej, wyrosłej na gruncie specyficznych doświadczeń cywilizacyjnych, historycznych, politycznych i kulturowych, co niby oczywiste, ale warte przypomnienia.

Otóż zapowiadany, programowy „dialog sztuki ze strukturami społecznymi” rozwija się w salsch takich np. Fridericianum duktem pokrewnym, rwanym, niewyraźnym, czasami rozwesalającym widza, tylko na krótkich odcinkach zyskując mocną i sugestywną artykulację. Kto wie, może właśnie dlatego organizatorzy imprezy podjęli się trudu wyważenia ideologii poszczególnych dzieł i postaw artystów — na stronkach świetnie zresztą wydane go i opracowanego katalogu (trzy tomy, 80 marek) i przewodnika wystawy (12 marek). Tak poprowadzona za rękę publiczność staje jak wryta np. przed „Pracą i bogactwem 14” Stephana Hubera z RFN (ur. 1952), bo śmieć wprawiają jej, że to kolorowe, przyjemne dla oka, wykonane z drewna i innych materiałów koła zębate stanowią metafor-

Dokończenie na str. 8—9

Lubelskie sylwetki

„Dobrze się czuję w czapce błazna...”

Rozmowa z Kazimierzem Pawełkiem

— Satyrk z urodzenia, dziennikarz z profesji, ekonomista z wykształcenia, naturysta z samilowania; felietonista, autor programów kabaretowych, piewca toplissu... Kim ty właściwie jesteś naprawdę?

— Błaznem. I dobrze się czuję w czapce błazna. A na samym początku naszej rozmowy chciałbym wyraźnie podkreślić, że moją obecność wśród „sylwetek lubelskich” w „Kamieniu”, wśród tego szacownego grona rektorów, profesorów, doktorów, docentów, uważam za rzecz zupełnie uzasadnioną. Wypełniam bowiem swoją osobą pewną poważną lukę: wszak kiedyś każdy szanujący się dwór, każde szlachetne gremium, miały swego błazna...

— Swojego Stańczyka?

— Wprawdzie Stańczykiem nie jestem, ale nie boję się powiedzieć, komu trzeba, prawdy w oczy. Jednak pozwól mi dokończyć mój wywód: dzisiaj wprawdzie nie ma już u nas dworów książęcych, a tylko skromne sekretariaty, ale... w wielu wypadkach wychodzi to na to samo... Skądinąd bardzo żałuję, że nasza biurokracja doprowadziła do likwidacji etatów błaznów, bo przez to, z konieczności, muszą się nieraz bliźnić inni.

— A kiedy odkryłeś w sobie duszę Stańczyka? Czy stało się to — jak się zwykło pisać w podaniach o przyjęciu na studia — „już w najwcześniejszych latach szkolnych”?

— Rzeczywiście. Tak właśnie było. A stało się to w Bochni, mieście „galicyjskim”, moim mieście rodzinnym. Tam także, już w klasach licealnych, „robilem” za tak zwany „tywy entuzjazm”. Na różnego rodzaju akademiach i wieczach byłem jednym z tych, którzy na odpowiedni sygnał bili brawo i wrzyski „słuszne okrzyki”.

— Na przykład...?

— Na przykład, gdy mówca na trybunie powiedział dobitnie: „Niech żyje marszałek!”, czy coś w tym rodzaju, natychmiast dawałem znak moim współtowarzyszom, że należy trzykrotnie krzyknąć: „Niech żyje!” Nawiasem mówiąc, pewnego razu fatalnie się pospieszyłem: gdy padło słowo „marszałek”, dałem znak do gorącego aplauzu. Niestety, chodziło o marszałka Tito, przy którym — w owych czasach — należało krzyknąć trzykrotnie: „Precz!”. W tym też właśnie momencie moja kariera „etawego entuzjasty” została brutalnie przerwana. Dla ścisłości, i ku uwadze badaczy polskiej literatury współczesnej, dodam, że razem z mną wylano wtedy z naszej grupy „entuzjastów” Ireneusza Iredyńskiego, mojego szkolnego kolegę, późniejszego znanego polskiego poetę i dramaturga.

— I co, z braku lepszego zajęcia wzięłeś się wtedy za pisanie i „gromienie” zamiast „chwaleń”?

— Na pewno w tym, co mówisz, coś jest. Ale i bez tego już w latach szkolnych „pisywałem do gazet”. Byłem współpracownikiem terenowym „Echa Krakowa” i „Dziennika Polskiego”. Tutaj dygresja: wiele razy pytało mnie, czy, w jaki sposób, rozdziałem mój zawód dziennikarza i profesję satyryka. Otóż ja uważałem, że nie istnieje — przynajmniej w moim przypadku — taka potrzeba jakiegóż rozdziału. Po prostu te problemy i tematy, które z różnych względów nie mogłyby się ukazać na łamach gazety, przetwarzam na język estrady. Zresztą, trudno nie być satyrykiem będąc dziennikarzem. Jako, że ten ostatni zawód niesie ze sobą tyle prawdziwie śmiesznych i paradoksalnych sytuacji!

— Od lat jesteś ściśle związany z lubelskim kabaretem

„Czart”, dla którego piszesz programy. Jak, do czego i tam trafieś?

— Przez czysty przypadek. Tak samo zresztą, jak i do samego Lublina. Otóż ja, Galicjanin odbywający studia na Wydziale Handlu Zagranicznego SGPIŚ w Warszawie, poznałem któregoś dnia w stolicy pewną lubliniankę, będącą tam, zresztą, przejazdem. Idąc za głosem serca, wylądowałem w 1961 r. w Lublinie. Tu, znowu przez przypadek, poznałem Jurka Beera, lekarza psychiatrę, który prowadził kabaret „Miktura” przy szpitalu psychiatrycznym w Abramowicach. Poznanie nastąpiło przy braku w klubie stowarzyszeń twórczych „No, ra” wcale, całkiem odpowiedniej ku szybkiemu brataniu się i „wzajemnemu zrozumieniu” atmosfery No, i to właśnie zadecydowało o moim dalszym losie satyryka: po prostu Jurek zaproponował mi „od ręki” pisanie tekstów dla kabaretu.

W „Mikturze” muzykę do moich piosenek komponował zazwyczaj Jerzy Malt. I z kolei on kiedyś zaniósł Tytusowi Wilskiemu, który prowadził kabaret „Czart” występujący w kawiarni „Czarcia Lapa”, moje teksty, oświadczając: „Masz tutaj teksty Kazika...”. Rzecz w tym, że Tytus, który mnie jeszcze wówczas nie znał, był przekonany, iż chodzi o utwory... Kazimierza Łojana, który od lat z kabaretem współpracował i był nawet jednym z jego założycieli. Więc z miejsca teksty te zaakceptował i włączył do najnowszego programu. Tak oto, znowu przez przypadek, trafiłem do „Czarta”. A po latach współpracy z Tytusem Wilskim, gdy poważnie zachorował, przejąłem po nim tę właśnie estradową schedę. Natychmiast zaprosiłem do współpracy kompozytora Jacka Abramowicza i o-

Po niedawnych wypadkach w Warszawie i Łodzi minister kultury i sztuki zawiesił działalność lunaparków w całym kraju. Dziecko wylano z kąpieli. Jednorazowy przegląd urządzeń technicznych nie uzdrowił chorego światła prywatnego show biznesu w Polsce: co najwyżej wzrosła umowne solaty za prawo do koncesji. Nie oznacza to wszakże, że zamierzamy bronić pokreślonych działań agentów, a nade wszystko resortowych urzędników wydających zezwolenia na tę działalność. Wśród amatorów szybkiego zarobku znajdują się jednak i w tej branży ludzie którzy obok miłości do pieniądza kochają naprawdę ten dziwny, cygańsko-cyrkowy świat. Bez względu na wynik ministerialnej kontroli tej pasji nikt im nie odmówi. W myśl zatem prostej zasady, że prawda o ludzkich rzeczach tkwi wyłącznie w człowieku, warto pokazać i tę drugą stronę lunaparkowej rzeczywistości.

(Red.)

— Już czterdzieści jeden lat prowadzę taki interes i gdybym jeszcze raz się urodził, to robiłbym to samo. Nawet radio zrobiło ze mną wywiad w cyklu „Sposób na życie”. To samo im powiedziałem.

Siedzimy w jednym z wozów, jakim przemierzają zwykle kraj cyrkowcy, obsługa wesolych miasteczek, Cyganie. To wnętrza nosi jednak znamiona upływu czasu; w niczym nie przypomina mojej dziecięcej, zapamiętanej na długo wizyty w cygańskim wagonie sprzed lat. Jest wygodne i nowoczesne. Mieści zgrabne, stylowe meble, kolorowy zachodni telewizor, rzeźbione foteliki i skórzane pufy. Jest w nim bar, a na podłodze stoł ogromne, wielozakresowe radio Telefunken. Sąsiednie pomieszczenie zajmuje sypialnia. W oknach cienkie firanki. Jak w domu. Przed wozem ustawiono dwa samochody: volvo i golf z zamojską rejestracją. Mój rozmówca, Bogusław Łoś, pali tylko amerykańskie papierosy.

Pośrodku placu piętrzą się w słońcu nieruchome teraz sylwetki karuzeli, diabelskiego mlyna, „fali”. Jest ranek. Boki tych urządzeń pokrywają tandetne, wyblakłe od starości wizerunki zwierząt: misie, jelenie i sarny. Przy ogrodzeniu jest jeszcze strzelnica i „loteria”, gdzie pociągając za tasemki można wygrać na przykład, jarmarczny, tombakowy pierścionek. Po cienkich żelaznych szynach jeździ „ciuchcia” z wagonami, a naprzeciw wąskie metalowe schody wiodą do „gabinetu śmiechu”. Miasteczko pana Bogusława, jak na krajowe wymagania, prezentuje standard super. Błyskający tu i tam klej nie razi nikogo. To świat dzieci, a dzieci „kupią” wszystko. Miasteczko zajechało tylko do dużych wojewódzkich ośrodków.

W atmosferze takiej rozrywki rozgrywały się filmy Jirzego Mencla. Waleś się tu gdzieś także atmosfera małych, przedwojennych „dziur”.

— Ja pochodzę z rodziny kupców. Co kupcy mają wspólnego z takim cygańskim życiem? Nic, chyba tylko po-

trzebny tu i tam zmysł do interesów. I może jeszcze gdzieś we krwi trzymają się czasy wędrownych karawan. Zaraz po wojnie prowadziłem sklep tekstylny. Szedłem w ślady ojca. Ja jestem „zrobiony”, jak to się mówi — „na la-dzie”. Czy pan wie, że właśnie mój ojciec założył pierwszą w Polsce spółdzielnię gastronomiczną w Tarnowie? Na otwarciu przybył sam Rokossowski.

Ale powróćmy do mnie. Kiedy sklep przejęło państwo, z właściciela zostałem kierownikiem. Wtedy trudno było o fachowców; ktoś, kto znał się na robocie zawsze znalazł sobie miejsce. Mieszkaliśmy wówczas w Poznaniu, ale ja pochodzę stąd, z Lubelszczyzny.

Pan Bogusław mówi śpiewnym akcentem. Może jego strony rodzinne leżą jeszcze dalej na wschód?

— Pracowałem więc w tej tekstylnej branży, choć ciągle było mi czegoś brak. Wie pan, ja zawsze bardzo lubiłem cyrk. Przed wojną nigdy nie byłem na karuzeli; nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek dostał te dziesięć czy dwadzieścia groszy. Ale cyrk lubiłem. I może to dlatego... Właśnie wtedy, w 1946 roku, dowiedziałem się, że w Paczkowie, na Ziemiach Odzyskanych, Niemcy zostawili duży lunapark. A przez Biuro Likwidacyjne można było kupować różne takie rzeczy. Więc kolega skorzystał. Nie znał się na tym, nie umiał robić pieniędzy, tyle tylko, że od maleńkości zamiast do szkoły uciekał na „Wesołe”. Na to kupno pożytyczył ode mnie czterdzieści tysięcy złotych. Nie miałem wówczas gotówki, więc dałem mu równowartość w materiałach. Kiedy w rok później pojechałem po odbiór pożyczki, okazało się, że kieszonko mu idzie i wtedy zaproponował mi spółkę. Mówił, że trzymając się mnie pieniądze i że zarobię około miliona rocznie. Wtedy pieniądze miały

mnie więcej tę samą wartość co dziś. I tak „wpadłem”.

Wydział Handlu z Bytomia wysłał mnie w tym czasie do Warszawy na kurs handlowy, ale ja celowo „spaliłem” egzamin. Coś już się we mnie rozbudziło. Rzuciłem sklep i wyruszyłem z kolegą do Zawiercia. Chciałem od razu założyć strzelnicę, ale wówczas miałem tylko jedną wiatrówkę. Zaczęłem kombinować. Chłopcy przyniosli mi kawałki stalowej rury, a wewnątrz luźno polerowałem cienkim drutem. Nie miałem wtedy wozu, więc osłonę strzelnicy zrobiłem z worków rozwieszonych na palach. Kupiłem też lizaki, dziesięć butelek wina i urządziłem konkurs rzucania piłką do puszek. To było już w Głuchołazach. Na otwarciu, w sobotę, zarobiłem, pamiętam to jak dziś, dziesięć tysięcy złotych.

Miałem do tego smykalkę i już przed wojną zetknąłem się z tym środowiskiem, więc to i owo podpatrzyłem. W Nysie zakupiłem ramę na strzelnicę. Zaczęłem robić pieniądze. Ale trzeba było umieć ze wszystkim sobie poradzić — ze stolarką i ze ślusarką. W Nysie kolega sprowadził sobie iluzjonistę — pijaka. Nasze partnerstwo rozchwiało się; zaczęły się niesnaski, rosła zazdrość. Zawsze udawało mi się wszystko lepiej. W końcu nastąpił rozbrat. Powiedziałem sobie, że rzucam to wszystko i wracam do domu. W przyszłym roku nie wyjeżdżam. Ale kiedy przyszła wiosna, zaczynało mnie już kręcić. Połknąłem bakcylię. I znowu ruszyłem w świat.

Mój partner miał teraz karuzelę żan-cuchową, a ja konikową. Urządziłem

„Miałem takie trio”

Wiesław Horabik

Następnego dnia rano podszedł do mnie jakiś gość i powiedział: „Mam do sprzedania wóz — pakówkę, może zechce pan kupić?” Kupiłem. Najpierw dałem dziesięć tysięcy, drugie dziesięć obiecałem dostarczyć za tydzień. Tymczasem już w niedzielę „wykręciłem” piętnaście. Miałem więc wóz, miałem dom i wyprowadziłem się z hotelu. (Ten hotel nazywał się „Partyzant”, a prowadził go pan Piontek. Widzi pan, jak to wszystko dobrze pamiętam).

Do baraku wchodzi szczupły mężczyzna w średnim wieku.

— To mój główny mechanik — przedstawia pan Bogusław. — Brat żony.

— Szefie, (a może się przesyłałem?) — WH), chciałem jechać do CPN-u po paliwo.

— Poczekaj na Barbarę. Razem pojedziecie.

— A żona co na te pańskie wędrownie ciągoty? — pytam.

— Żona? Pierwsza mówiła, że nie chce o niczym słyszeć, że chyba zawirowałem. No i, musieliśmy się rozstać. Basia, to moja czwarta.

Po placu kręci się jeszcze kilku ludzi. Sprawdzają działanie mechanizmów. Po świętym wypadku na warszawskiej karuzeli wszystko musi być teraz dokładnie przebadane.

— W tym wagonie — ciągnie pan Bogusław — założyłem „Teatr Iluzji”.

też rzuty blachami. Wie pan, jak to wygląda? Robi się takie metalowe koło, które trzeba przykryć trzema, jednakowej wielkości, kolorowymi blachami. One też są okrągłe i pasują do koła. Miałem ogromny ruch, a kolega znowu tracił i wtedy rozeszliśmy się na dobre, choć on miał koncesję, a ja nie. Ja miałem za to głowę na karku. Przyszły jednak ciężkie czasy dla „prywatniarzy”. Pan rozumie — lata pięćdziesiąte. Już w 1948 powstały ZPR-y

— Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe. Do dziś działamy pod ich egidą.

Gdyby nie te złe czasy, już mógłbym wkrótce kupić Pałac Kultury! Wtedy jednak i ludzie byli inni — uczciwi, i chętnych do pracy nie brakowało. Kiedy ogłoszono się przez głośniki nabór, przed bramą ustawiało się zaraz stu chętnych. A dzisiaj? Mam ośmiu, a potrzebuje dwudziestu. Widział pan to ogłoszenie przy wejściu? Dzisiaj na stu pracujących znajdzie pan jednego dobrego. Wielu pije i kradnie. A ja nie toleruję pijanstwa. Prowadzę taki dzienniczek. Sa w nim uwagi o każdym zatrudnionym. Niech pan spojrzy: pijany, pijany. Już u mnie nie pracuje. Ta afera z podchmieloną obsługą na Czeczowie popsowała nam reputację. Teraz boję się nawet tam pokazać. W tej

czyż Jerzego Malta. Razem piszemy nadal dla... Ostatnio otworzyliśmy nawet w Warszawie „Ajencję”. Tak się nazywa kabaret grający w kawiarni „Szampańska”, którego trzon stanowią aktorzy z Teatru na Targówku. Pierwszy program „Ajencji” pt. „Rozum na dotarcie” oparty jest o teksty i piosenki naszej lubelskiej trójki.

— Ile programów napisałeś dla „Czarta”?

— Osiemnaście. Ale na scenie ukazały się o dwa mniej. Kto za to „manko” jest odpowiedzialny, nie muszę ci chyba tłumaczyć. Wliczam ten fakt jednak w koszty ryzyka zawodu satyryka.

— To na pewno niezbyt wesołe wspomnienie. A jakie wspomnienie z twojego „Kabaretowego życia” zaliczasz do najsmieszniejszych?

— Coś ci powiem: tak naprawdę, najsmieszniej to jest poza kabaretem... I mogę ci zaraz służyć kilkoma adresami w Lublinie, gdzie chcąc coś wskórać, lub coś załatwić, można by się... ubawić do lez! Ale w kabarecie, oczywiście, także bywają wesołe, nie zaplanowane, momenty.

Tak było na przykład podczas jubileuszu dwudziestopięcioletnia „Czarta”, kiedy to na naszą estradę weszli jednocześnie, celem dokonania dekoracji artystów, lubelski wojewoda, Tadeusz Wilk, i ówczesny I sekretarz KW PZPR, prof. Wiesław Skrzydło. Ja, patrząc na nich, poczułem nagle, że... „wstępuje we mnie diabeł”. I niewiele myśląc rzuciłem do mikrofonu: „Nasz kabaret ma już dwadzieścia pięć lat, ale nigdy nie gościł jeszcze na swojej scenie dwóch tak wspaniałych artystów!”. Publiczność oszalała, brawom nie było końca. A gdy już ucichły oklaski, sekretarz Skrzydło podszedł także do mikrofonu i powiedział: „Milo w tym waszym kabarecie. I aż żal, że już wkrótce musimy wrócić do swojego, w Alejach Racławickich...”. No proszę, a mówi się że „władza” nie ma poczucia humoru!

— To: zdarzenie „od fioletu”. A jak bywa w kabarecie „na co dzień”?

— Na co dzień, to nie zawsze fotele na widowni, te przeznaczone dla przedstawicieli lubelskich władz, bywają zajęte. Choć mamy, skądinąd, swoich wierznych bywalców z owych „sfer”; np. sekretarza KW PZPR profesora Michała Bokińca, czy też byłego prezydenta miasta Lublina, Stanisława Borę. On to właśnie, po premierze jednej z „Szopek lubelskich”, zażądał dostarczenia mu egzemplarza pro-

gramu. Sądziłem, że się obraził, bo przypięto mu w programie, jako ojcu miasta, bardzo wiele lalek. Z duszą na ramieniu wybrałem się więc wraz z Tytusem Wilskim (i, oczywiście, egzemplarzem) do Ratusza. Nawiasem mówiąc, zapobiegliwy dyrektor lubelskiej „Estrady” patronującej „Czartowi”, Wiesław Kryński, polecił uprzednio fofiałów, na wszelki wypadek, pięknie oprawić u intrologatora...

Prezydent Bora podjął nas kawą. A kiedy nieśmiało zapytałem, na co mi są potrzebne nasze teksty kabaretowe — odparł: „Ja, oglądałem premierę „Czarta”. Ale moi urzędnicy nie znają programu. Wobec tego mam zamiar zwołać ich na specjalną naradę, podczas której osobiście im przeczytam, jak nas wszystkich „obrabiają” w kabarecie! A potem zarządzą, aby te wszystkie błędy, jakie się nam zarzuca, zostały jak najszybciej naprawione”. Wówczas, przerażony, krzyknąłem: „Panie prezydencie! Jeśli będziecie dobrze pracować, to my, autorzy, w przyszłym roku nie będziemy mieli tematów do nowych programów!”. Prezydent odparł filozoficznie: „Niech pan będzie spokojny; do przyszłego roku na pewno dostarczymy wam nowych tematów!”.

— Który z twoich programów „Czarta” uważasz za najlepszy?

— Ten, którego premiera odbyła się w listopadzie 1981 r., i który był zatytułowany „Głębokie zanurzenie”; a graliśmy go tylko dwadzieścia jeden razy. Ostatni spektakl wypadł w sobotę 12 grudnia, późnym wieczorem. Do dziś żywo mi stoi w pamięci refren finałowej piosenki:

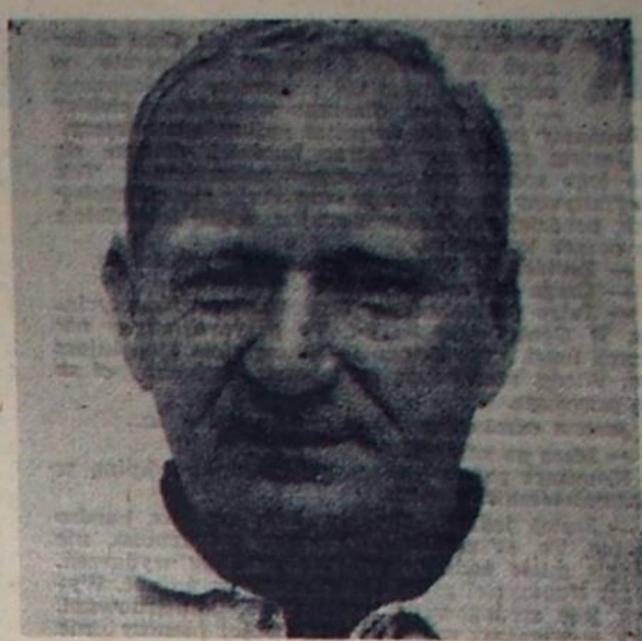
„A statek nasz wciąż się zanurza,
Już w maszynowi woda jest też,
Tymczasem nowa naddająca burza:
S.O.S., S.O.S., S.O.S.!”

Pamiętam także bardzo dobrze, że po premierze tamtego programu wzruszony do lez szef lubelskiej cenzury, Mieczysław Wereski, postawił mi lampkę koniaku. Może ruszyło go sumienie, że był kiedyś dla moich tekstów zbyt surowy?

— Czyli satyrycy potrafią jasno przewidywać?

— Ależ, skąd! Satyrycy mają odwagę głośno powiedzieć to, o czym zazwyczaj wszyscy dawno już dobrze wiedzą.

Tu chciałbym dodać, że osobiście odkryłem jeszcze kilka innych prostych prawd. Na przykład



Fot. Jan Trembecki

też z dziedziny ruchu drogowego: „Kto stoi w miejscu, ten daleko zajdzie”. Albo też z dziedziny lotnictwa: „Młodości, ty nad poziomy nie wylataj, bo połamać ci skrzydła!”. Odkryłem także prawdę z zakresu fizyki: „Odważa maleje w miarę wzrostu stanowiska”. A także z dziedziny geologii: „To nie prawda, że góra z górą się nie zejdzie. Góra z górą się zejdzą. A nawet zejdzie się góra z dołem. Tylko ów dół musi ją odpowiednio nacisnąć”.

— A kogo ty naciskasz? Już nie jako satyryk, lecz jako sekretarz redakcji „Kurier Lubelski”?

— Ależ, skąd! Ja nikogo nie naciskam. To mnie naciskają!

— Ci „z góry”?

— Niestety: i ci „z góry”, i ci „z dołu”...

Bez niczyich nacisków rozmawiał:
Mirosław Derecki

branży także wszystko zależy od człowieka.

Da pokoju wchodzi młoda, bardzo przystojna kobieta. To czwarta żona pana Bogusława. Do niedawna pracowała w chorzowskim Parku Rekreacji i Wypoczynku. Podobno najlepiej, jeśli biznes prowadzi rodzina.

— Ja jestem agentem — mówi pan Bogusław — ale się z tym kryję. Tyle niejasności narosło wokół agentów. U mnie nigdzie nie zobaczy pan tabliczki z literą A. Takich chuligan, gdy zobaczy napis „Ajencja” na wszystko sobie pozwala. Własności państwowej bardziej się boi się dotknąć. Może są więc urzędnicy, ale wszystko firmują ZPR-y. Płacę im zresztą niemały podatek. Średnio siedemset tysięcy miesięcznie.

— Jaki ma więc pan obrót?

— Około dwóch milionów.

— To niewiarygodne. Przecież opłaty są tu takie niskie; trzydzieści, czterdzieści złotych...

— Tak właśnie zbiera się pieniądź. Ale ja już za nim nie gonię. Gdybym go nie, już bym tu nie stał. Spadła frekwencja i trzeba by poszukać innego miejsca. Ale ja lubię ten wawóz na Kalinowszczyźnie. A w ogóle mam piękny dom, dwa samochody typu diesel, ogród. Dwadzieścia pięć lat prowadzę „ścianę śmierci”, siedem lat stałem w Chorzowie, trzy lata w NRD. W 69-tym zabił mi się na motorze człowiek. Przez nonszalancję. Miałem takie trio — chyba najlepszy wówczas program w Europie. Ale wypadku technicznego nigdy w swej karierze nie miałem. Owszem, zdarzało się, że jakiś chłopak pod wpływem alkoholu wyskoczył z karuzeli; albo rodzic rzucał się by ratować krzyczące dziecko i spadał oboje. Na takie wypadki nie ma można poradzić. A ten ostatni, w Warszawie, to wynik naszych czasów. Ja tam byłem. Człowiek, który to prowadził, to nowicjusz w branży — były clown cyrkowy. Dzisiaj każdy może dostać koncesję, jeśli ma pieniądze. Jego sprzęt, to była ruina; leżał, niszczejąc, w jakiejś szopie od wielu lat. Nikt go przed wydaniem zezwolenia nie oglądał. A o sprzęt trzeba dbać. Ja już nie muszę się dorabiać za wszelką cenę, a jednak bez karuzeli nie potrafię żyć. Czy pan wie, że największy ruch nie panuje tu w święta. W święta są z reżyżerami inne, ciekawsze atrakcje. Na przykład w Święto Odrodzenia zarobiliśmy tylko sześćdziesiąt tysięcy. To zależy, oczywiście, i od tego, w jakim miejscu się stoi. Kasę robią mi jednak prze-

ważnie dni powszednie. Niech pan spojrzy, ten wagon ozdobił mi górę.

Tym razem do wnętrza zagląda młody chłopak:

— Kierowniku, potrzebujemy pieniędzy. Nie mamy nawet na papierosy.

— Przyjdźcie trochę później.

— Pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych znowu było lepiej. Te ZPR-y, to właściwie my odbudowaliśmy. „Filmotechnika — Kraków”: Władysław Ciepły, Zbigniew Sroczyński, Stanisław Kamiński, Rajmund Brewka i ja. Każdy, kto chciał założyć firmę, musiał odbyć pięć lat praktyki. W dziewięćdziesięciu procentach powstawały wówczas miasteczka rodzinne, na zdrowych zasadach. W tym czasie byłem już poważnym wystawcą. Pod koniec lat sześćdziesiątych przyszła z kolei moda na miasteczka komunalne. Nie wróżyłem im powodzenia. Każda „dziura” chciała mieć własną, stałą rozrywkę. Państwo dało obfite dotacje. Powstały wtedy sto trzydzieści trzy takie wesołe miasteczka. Jeździli po kraju agenci i szukali sprzętu. Ode mnie też chcieli kupić karuzelę, ale nie sprzedalem. Cała ta operacja trwała nie dłużej niż dwa lata. Żyją tylko te przedsiębiorstwa, których właściciele je kochają. Inaczej nie ma o czym mówić; do tego też potrzeba serca. Po trzech latach z tych stu trzydziestu trzech inwestycji, nie przetrwała ani jedna. W Namysłowie sam kupiłem za cztery tysiące karuzelę, za którą miasteczko zapłaciło sto tysięcy. W Chorzowie też cały ten kombinat funkcjonuje tylko dlatego, że dziewięćdziesiąt procent imprez robią firmy ajencyjne.

A koniec lat siedemdziesiątych przyniósł znowu konszachty z Czechami. Jeździli ich po Polsce cała kupa. Z początku, nie powiem, były piękne lunaparki, ale potem „sama chałtura. Dopiero stan wojenny to zahamował. Ale jeszcze przedtem, kiedy byłem w Zamościu, wezwał mnie do siebie prezydent. „Chcemy w mieście na stałe zbudować wesołe miasteczko — powiedział. — Kupimy od pana sprzęt i zapłacimy dobrze”. Początkowo nawet się zgodziłem, podałem numer swego konta, ale pieniądze jakoś nie napaływały. Wykorzystałem to, by zerwać umowę. Poszedłem jednak do prezydium i mówię: „Dam wam w prezencie diabelski młyn i cztery gokarty samochodowe z podłogą. Nie chcę za to ani grosza, niech tylko prezydent załatwi mi talon na samochód”. Obiecał. Mieszkałem wtedy w Katowicach i tam mnie właśnie wywłaszczyl. Na czterdziestu osmiu arach mojej parceli pobudowało się czterech prominentów. Przyjechali do mnie ci ludzie z Zamościa i

zabrali tę karuzelę i gokarty. Samochodu nie dostałem. Później miałem otrzymać traktor. Nie nie otrzymałem. Tymczasem przyszedł krach i miasteczko w Zamościu nie powstało. Teraz należą do Rady Agentów, jestem prezesem. Dużo działałem społecznie. Nie przez uczestnictwo w jakichś imprezach — finansowo. Każdej lubelskiej dzielnicy coś podarowałem. Borykam się z biurokracją z całą masą papierkowej roboty. Sam pan sobie w tym interesie nie poradzi, trzeba mieć pomoc. Najlepiej rodzinę, jeśli zna się na sprawie. Co roku odnowiam koncesję, a każda impreza musi mieć jednorazowe zezwolenie. Ale mnie już znają; ja jeżdżę tylko na zaproszenia. Niedawno obsługiwałem na przykład w Rzeszowie święto Rzecha i „Nowin”. O, tu jest papier, niech pan spojrzy. A tu zaproszenie do Lublina. Pracy w tym interesie nie brakuje. Dzisiaj na przykład powinienem być w Krakowie, a jestem tutaj. Codziennie wstaję o szóstej rano. Jaki pan, taki kram. Pan wie...

— Więc tęskni już pan na pewno do osiadłego życia.

— Proszę pana, kłopotów nie brak, ale ja naprawdę lepiej czuję się w wagonie niż w willi. I nie jest to kokieteria: Mam koleżankę w Krakowie, która jest już na emeryturze. Ma piękny dom, a przed nim „cyrkowy wóz”. Na wiosnę, kiedy robi się ciepło, zawsze się do niego wprowadza. Albo znajomy z Katowic. Przez siedem lat leżał sparaliżowany i nie pozwolił żonie sprzedać karuzeli. Leżał przy oknie i patrzył. To nie jest ginący świat. To będzie istniało zawsze, dopóki w ludziach jest pragnienie włóczęgi. A tego pan nie zabije. Wszyscy pochodzimy wszak od nomadów. Cały świat jest w ustawicznym ruchu. Ja często mówię do żony: „Masz mnie z wagonem pochować”.

Kiedy opuszczam wesołe miasteczko pana Bogusława, ogarnia mnie nagle pragnienie, by tu jeszcze powrócić. Czy sprawa to osobowość mojego rozmówcy, czy też dyskretny urok świata, który mi opowiedział? A może to już przedziwne, zasiedziały w mieście, zagubiony w stabilizacji zew, który przecież musi tkwić w każdym z nas? Długo patrzę na przycupnięty w wawozie kawałek ludzkich marzeń. Są trochę naiwne i trochę pokretnie, ale na pewno nie brakuje im prawdy.

„Kiedy przyjdzie wiosna, nie mogę usiedzieć na miejscu. To jest silniejsze od wygod i spokoju. Trzeba kochać życie, którym się żyje”.

KRONIKA KULTURALNA

● W Lublinie zorganizowano ogólnopolski plener plastyczny pod hasłem „670 lat Lublina”. We wrześniu odbędzie się aukcja części obrazów, z której dochód przeznaczony zostanie na rewaloryzację Starego Miasta.

● Plastycy amatorzy z woj. białkopodlaskiego oraz malujący kolejarze z całej Polski spotkali się na plenerze w Serpelicach. Obrazy powstałe w tej miejscowości znajdą się we wrześniu na wystawie w warszawskim Dworcu Centralnym, a później WDK w Białej Podlaskiej.

● Białkopodlaski zespół rockowy „Tabes” wystąpił w koncercie konkursowym jarocińskiego festiwalu, był on jedną z 23 zakwalifikowanych grup na 300 zgłoszonych.

● W ramach akcji letniej z czterema koncertami wystąpili w Chelmie: Barbara Pyczkosz — sopran, Leszek Zawadzka — baryton i Andrzej Berezowski — pianista. Nie zawodzi Krajowe Biuro Koncertowe, które w lipcu skierowało ośmiu rasy artystów z Warszawy do Chelma. W sierpniu odbyły się dwa koncerty pod hasłem „Muzyka cieszy”. Również w sierpniu WDK zorganizował spotkania z Władysławem Surowieckim (poeta i rysownik z Człuchy) i Marią Gleń (poetka i wycinałkarka z Krasnegostawu).

● Muzeum Okręgowe w Lublinie zorganizowało wystawę medalii, odznak i monet Józefa Gosławskiego — prekursora współczesnego polskiego medalierstwa, wybitnego rzeźbiarza. W Hrubieszowskim Domu Kultury — ekspozycja prac Mirosława Ostrowskiej-Białuckiej. W Krańskim Ośrodku Kultury plastyk amator Hyszard Michałowski wystawia 15 prac malarskich. W BWA w Lublinie wystawa poplenerowa grafików „Kazimierz 66”. IWA w Białej Podlaskiej zorganizowała w Domu Socjalnym ZPW „Białona” wystawę gobelinów Urszuli Seibor-Rylskiej ps. „Moje Podlasie”, zaś w KMPiK-u Waldemar Wyrzykowski zaprezentował rysunki satyryczne.

● W puławskim Domu Chemika ciekawie ekspozycja: Jerzy Piątek prezentuje cykl fotografii pt. „Małe miasteczko”; dwie wystawy plakatów o tematyce turystycznej i o motywach surrealistycznych: „Różnorodność huli w rysunku dzieci”, to wystawka prac najmłodszych.

● W Galerii Letniej w Kazimierzu B. Wisła 3 sierpnia otwarto wystawę retrospektywną malarstwa Andrzeja Kołodziejka, jednego z najwybitniejszych współczesnych pejzajzystów polskich.

(kop)

KOMISARZ spłócił palce swoich dłoni złożonych na biurku i spojrzął mi prosto w oczy. Poczułem się zmieszany i niepewny. — Czy wiesz, dlaczego wybraliśmy ciebie? Uważamy po prostu, że jesteś najinteligentniejszy. Jestem zmieszany jeszcze bardziej, dołącza się do tego rodzaj zawstydzonego zadowolenia. Tak prymitywny chwyt. Moje oczy stają się chłodniejsze, bardziej przytomne i czujne, widzę ich odbicie w oczach komisarza.

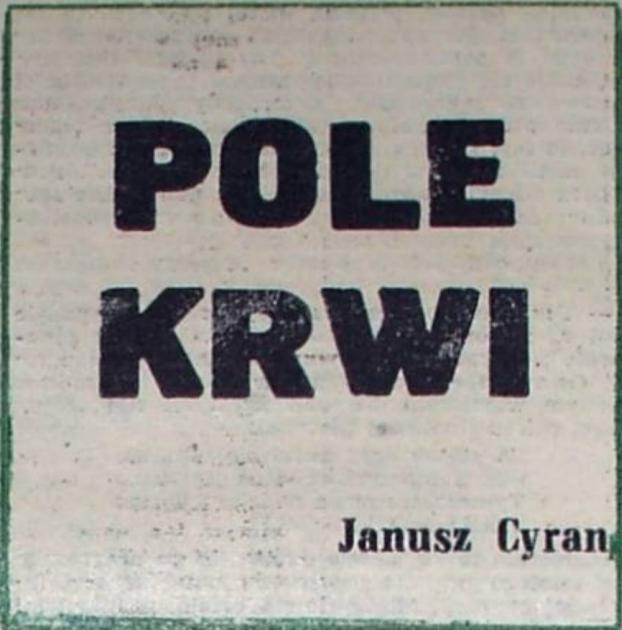
— Zrobisz to. Wiem na pewno, że zrobisz to.
— Czego ode mnie chcesz?
— Jutro przyznamy tego waszego Nauczyciela. W Centralnym Parku. Ty przyprowadzisz naszych ludzi, podejdziesz do Nauczyciela i ucałujesz go. Wtedy zaarrestują go agenci. Zapłacimy ci za tę przysługę.
Jestem oszołomiony. Jak może myśleć, że...
— Mam go zdradzić?
Komisarz patrzy na mnie z pogardą i kpina w jasnoniebieskich oczach.
— Jesteś jednak głupcem. Albo myślisz bardzo wolno. To, co zrobisz, albo czego nie zrobisz, nie będzie miało żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Wasz Nauczyciel został już skazany na śmierć. Wyrok jest zredagowany, sędziowie poinstruowani. Czy wyobrażasz sobie, że bez twojej pomocy nie zaarrestujemy go? Nie bądź śmieszny. Jesteś drobnym elementem w całej tej grze, elementem wymiennalnym, nie zapominaj o tym. Nie potrzebujemy cię, to raczej ty nas potrzebujesz, dlatego przecież tu przyszedłeś. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że wszyscy jego uczniowie skończą marnie. Dzięki nam...

— Dlaczego chcecie, bym to zrobił?
— Chodzi nam o dodatkowy efekt psychologiczny. Oto jeden z jego uczniów uznaje swój błąd i jako uczciwy obywatel, dbały o dobro Imperium, wydaje wicherzyciela w ręce sprawiedliwości. Ale zrozumiemy, że ten efekt osiągniemy nawet i bez twojej pomocy. Mamy już filmy dokumentalne demaskujące działalność Nauczyciela, redakcje gazet otrzymały odpowiednie instrukcje. Sytuacja jest taka: Imperium jest kroczącym naprzód stalowym kolosem, zaś wasza sekta grupą mrówek, która znalazła się przypadkowo na jego drodze. Dlatego mówię, że nie jesteś w mocy ani zaszkodzić, ani pomóc temu, którego zwiecie Nauczycielem. Twój wybór jest inny: zrobisz to i dostaniesz forsa, albo nie zrobisz i wtedy zabijemy ciebie. Rozumiesz, że musimy mieć w swoich rękach silne, dobre argumenty.

Patrzmy sobie w oczy. Komisarz uśmiecha się i naciska guzik. Do pokoju wchodzi wysoki, rosły mężczyzna w szarym garniturze, bawi się długą gumową pałką. Komisarz wstaje z krzesła, odwraca się plecami i patrzy przez okno.
— Kiedy mówi się do kogoś: „zabijemy cię”, nie brzmi to przekonująco. Śmierć jest dla większości ludzi pojęciem abstrakcyjnym, niedostępnym potocznemu doświadczeniu, dlatego musimy pomóc twojej wyobraźni.

Potężne uderzenie zwała mnie z krzesła. Wije się na podłodze i czuję, jak lewa połowa pleców i lewe ramię płoną białym ogniem bólu. Teraz siedzę

znów na krześle, w przeciwieństwie do mnie oddalona twarz komisarza, słyszę w dali jego spokojny, monotony głos.
— Przemoc budzi we mnie obrzydzenie. Jest w niej coś odrażającego. Zawsze musimy używać przemocy, gdy nie wystarczają argumenty rozumowe. A przecież w tylu przypadkach dałoby się tego uniknąć! Wystarczyłoby pomyśleć. Myślisz jeszcze poważnie o swoim sumieniu? Zapewniam cię, że ten atawizm można przezwyciężyć. Musisz tylko ujrzeć sprawy takimi, jakimi są, a nie poddawać się emocjom, inaczej wybierzesz śmierć.



— Chcecie go zabić?
— Zabijemy go. Jego nauki stają się niebezpieczne mimo tego, że są pozbawione sensu, a może właśnie dlatego. Wykorzystuje prymitywne emocje, nie zważając na logikę. To szalenieć.
— On nie jest szaleniećem. On jest człowiekiem, ale jednocześnie kimś lepszym niż my wszyscy. Nie zdołacie go zabić.
— No, sam widzisz — komisarz uśmiecha się. — Nic mu nie zagraża, jest bogiem, więc dlaczego nie miałbyś go jutro ucałować? On przebaczy ci, a ty uratujesz swoje życie.
Podchodzi do mnie, chwyta mnie za włosy i kieruje moją twarz ku swojej.
— Zrobisz to jutro!
Patrzę prosto w jego rozszerzone źrenice.
— Tak, zobię to.
— A teraz idź i upij się. Albo poszukaj sobie jakiejś dupy. To ci dobrze zrobi.

Jest słoneczne, bezwietrzne popołudnie. Żołnierze oddziału specjalnego stoją przed ciężarówkami, palą papierosy, rozmawiają, śmieją się.

Stoję obok dużej, czarnej limuzyny. Pada komenda, żołnierze zsuwają niedopalone... rozgniatą je swymi ciężkimi butami, po... wskakuje do ciężarówek. Wsiadam wraz z pięcioma agentami do samochodu. Po pół godzinie jesteśmy na miejscu. Żołnierze wyskakują z ciężarówek i rozbiegają się, pokrzykując groźnie na zaskoczonych spacerowiczów, popychając ich koltami automatów.
Prowadzę grupę agentów na niewielką polanę. Nauczyciel i uczniowie powstają na nasz widok i patrzą ze zdziwieniem. Podchodzę do niego, staram się nie patrzeć, w jego smutne, mądre oczy — jak trudno tego uniknąć, jest w nich litość, zrozumienie, ale czy jest w nich przebaczenie? Schylam się przed nim i całuję jego dłoń, mówię przez zaciśnięte gardło: „Witaj, Nauczycielu”. Lzy występują mi z oczu.

— Po co przyszedłeś?
Nadbiegają agenci, wykręcają mi ręce do tyłu i zakładają kajdanki. Spomiędzy drzew wylania się plucień żołnierzy z wymierzonymi w nas automatami. Uczniowie rozglądają się w przerażeniu. Tak obawiałem się ich potępiających spojrzeń, a teraz widzę, jak bardzo są przestraszeni i dezorientowani. Czuję ulgę, nie tylko ja się boję.
Jego spokojne, smutne oczy...
Jeden z agentów podchodzi do mnie, wręcza mi plik dolarów i mówi przesadnie głośno:
— Oto twoja zapłata, możesz odejść.
Chowam bezwiednie pieniądze i odchodzę chwiejnym krokiem, za moimi plecami jest krzątanina i wszystko to, od czego tak gorąco pragnę uciec.

Zbliża się wieczór, jestem nieco pijany i wracam do hotelu. Beznogi żebrak, siedzący na chodniku, belkocze coś i porusza przetłuszczoną, brudną czapkę. Schylam się i rzucam do niego wszystkie pieniądze. Żebrak wytrzeszcza na mnie swoje chytre, wyblakłe oczy i otwiera ze zdziwienia usta.
— Czy ty wiesz, za co są te pieniądze? Pluń na nie, pluń na nie!
Żebrak chowa szybko dolary do wewnętrznej kieszeni zniszczonej marynarki.
— Jestem zdrajcą, on wypełnił pustkę w moim życiu, a ja zdradziłem go!
— Wariat! — skrzeczy żebrak. — To wariat! Na pomoc!
Chwyta swe kule i bije nimi po nogach. Odchodzę szybko. Jestem teraz w ciemnym hotelowym pokoju. Włączam telewizor. Potem wychodzę na dach hotelu. Nieznośny ból ogarniający całe moje ciało i obezwładniający umysł. Widzę znów jego smutne oczy i krzyczę: „Przebacz mi! Musisz mi przebaczyć!”

Ale on nie żyje i żaden z mieszkańców tego wielkiego miasta nie może za niego wypowiedzieć słów przebaczenia. Czerwona kula słońca wisi nad burym horyzontem, z dołu dochodzi mdły smród spalin i uliczny hałas. Nikogo z nich nie obchodzi, mój ból jest im wszystkim obojętny. Jestem tylko ja i on, a pomiędzy nami ból. I nagle ból ustaje, jestem już spokojny. Podchodzę do krawędzi dachu...

* KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI * KSIĄŻKI *

Życie splecione historią

PENETROWANIE powikłań losu powstałych w drugiej wojnie światowej nie skończyło się jeszcze jako temat literacki. Można się zastanowić, czy nie za długo trwa ta passa — prawda, że już słabnieca — tu jednak nasuwa się możliwość dwojakiego spojrzenia. Jeśliby stworzył zamierzony jako psychologiczna dokumentacja tego kawałka historii, jako ukazanie ludzkich jerypedii ważnych dla narodowej świadomości, mimo że umykających statystyce i kronikarskiemu zapisowi, to nie zyskałby dla siebie żywego odruchu czytelniczego zainteresowania, bo literatura — i także wydatnie wspomóżona filmem — nie mogła tego nie uwzględnić. Jeśli jednak znaczenie literackiego utworu traktujemy w oderwaniu od jego doraźnej aktualności, jeśli przyznajemy mu prawo do zajmowania uwagi bez względu na metrykę opisanych wydarzeń, to na drugi, a nawet trzeci, plan schodzi kryterium chronologiczne i zwracamy uwagę na stopień dotarcia do prawdy o człowieku w ogóle.

Tu w charakterze dygresji można wtrącić zastrzeżenie co do zasadności wyodrębnienia zjawiska nazwanego „demonem młodej literatury” jako że ani młodość, ani stare literatury nie ma. Czym bowiem mierzyć „ci wiek? Wiekami autorów? Jeśli tak, to mówimy również o literaturze kamizelkowej i literaturze swetrowej, bo z autorów jedni noszą swetry, a drudzy ka-

mizelki. Wiek co? Może ta „młoda” wykazuje znacznie osłabienie artystyczne w przeciwieństwie do starzyzny prezentowanej przez literaturę powstałą w poprzedniej generacji? Ma racie Przybysz kiedy mówi, że postępowanie — jako wypadkowa czasu — nie istnieje, tak istnieje w komunikacji, medycynie, produkcji i sztuce wojennej. Inaczej Homer byłby gorszym pisarzem od Przymanowskiego, bo u tego drugiego walczył szporet w utworzonym przez nowoczesną technikę, a u pierwszego tuka się kawałkami drewna i żelaza. Ale wróćmy do tematu.

Tadeusz Jasiński wydał powieść „Bóg wezwany na rozstrzelanie”. Są to koleje losu, całe curriculum vitae człowieka, który w momencie narracji liczy prawie siedemdziesiąt lat, więc tych perypetii przeżył sporo, a życie układało mu się nie szczędząc sytuacji zaprzeczających jedna drugiej. W wojnach był trzech: polskim sanacyjnym, niemieckim i polskim demokratycznym — kochał się w Niemce, z którą się w końcu nie ożenił, ożenił się natomiast z kobietą, wobec której czuł się winien (to poczucie winy dodatnio o nim świadczy) z tego powodu, że miał skłonność uczuciową jeszcze i do trzeciej. W niemieckim wojsku, do którego został wcielony jako volksdeutscher (przymuszony, nie było innego wyjścia), zetknął się z Niemcem — komunistą, który mu uratował życie w czasie ostrzału niemieckiej artylerii i naprowadził na proletariackie rozumienie rzeczywistości społecznej. Zrezygnował z wysokiej funkcji w ministerstwie i opuścił Warszawę dla Gdańska, by kierować pracami melioracyjnymi na Żulawach. Nie chodzi o to, że tym życiorysem można by obdzielić kilku bohaterów i żaden

nie miałby prawa uskarżać się na niedostatek przeżyć, bywają takie koncentraty treści w jednym życiu, ale czytelnik ma uzasadnioną obawę, czy autor nie utrudnił sobie zadania na tylu scenach naraz swojego aktora sytuując. Edward Trocheleński musi się spieszyć ze swoimi kolejnymi wcieleniami, żadnego w gruncie rzeczy, mimo intensywności reagowania i żywoci refleksji nie dożywając do końca. Ze zbliżenia tkanki ogólnego, narodowego losu do warstwy jednostkowych perypetii wynika trochę kontaminacja eposu ze studium psychologicznym. Tak uwiarygodnić, podzirować autentyczność bohatera — szczególnie tak często zadającego sobie pytania o siebie — znaczeniem przedmiotowych faktów społeczno-historycznych, ale czy te dwa kierunki spojrzeń nie przecza sobie wzajemnie, nie powodują raczej nie sumują się w zgodną wymowę, a przynajmniej nie sumują na tak zakomponowanym obszarze tekstu. Dla pełnego rysunku sylwetki Edwarda należałoby tekst poszerzyć chyba kilkakrotnie.

Tak, bo chcielibyśmy poznać mechanikę kolejnych przejść z sytuacji w sytuację. Jak, z jakimi oporami, z użyciem jakich atutów i w jaki sposób rozegranych. Tu kłania się postulat realizmu, możliwość odkryć procesów społecznych. A metoda „monologu wewnętrznego” — więc wypowiedzi przez mówiącego skierowanej do siebie samego — zwalniająca z potrzeby dokładnego wyliczenia się z zasobu użytych

realiów pozwala zbyt swobodnie przefrunąć nad „uporem faktów”. Nie wiemy, jak to się stało, że Trocheleński tak łatwo (brak obrazu trudności) zaawansował na wysokie stanowisko w ministerstwie, w jakich okolicznościach zawarł małżeństwo (nie o psychicznym stresie z powodu niemożności odzyskania pierwszej ukochanej) także nie w pełni — poza właściwym wszystkim ludzkom poczuciem egzystencjalnego niedosytu — możemy się czuć przekonani, że bohater i narrator w jednej osobie ma prawo do tak ujemnego bilansu swojego życia w gruncie rzeczy nie zawierającego nadmiaru niepowodzeń.

Warto jeszcze — jeśli już zgodzimy się na pewną literackość niektórych scen, szczególnie z wznianiami miłosnymi — zastrzeżenie co do trafności określeń. Jeśli ojciec narratora operuje żęzkim na tyle gwarowym „ze, wymawia „szkulny” zamiast „szkolny” (i to w znaczeniu „wyszkolony”), to nie posłusz się słowkiem „outować”. „Korvartem” mienić się też wski dostę do morza taki orzed wojną Polska miała, a nie żadana przez Hitlera autostradę małaca oolacze III Rzesze z Prusami Wschodnimi (str 34 i inne). Pruski hełm z ostrym erodem na czubku to nie „piekielhauba” (str 37) lecz — jeśli zachowujemy polsko-niemiecką pisownię — „pickel hauba”, a Thaelmann miał na imię nie Ernest, lecz Ernst. Także „Wernher” (9 jest kilkadziesiąt razy) nie powinien mieć tego „h” w środku.

Na koniec: taki tytuł? Nie będzie zniechęceniem do lektury potencjalnego czytelnika, jeśli nadnie wyjaśnienie tego frapującego, a nawet szokującego zwrotu. Bóg to dobro i społeczne i jednostkowe, ludzkie wiec zawiści, nienawiści i błędy, kiedy triumfuja, powodują jakby rozstrzelanie owej istoty najdoskonalszej i znika całe bliźnistwo, zostaje metafora.

Zygmunt Mikulski

TADEUSZ JASIŃSKI: „Bóg wezwany na rozstrzelanie”. Wydawnictwo Lubelskie, 1986, str. 180, cena 140 zł.

Jerzy Wilmański

ROZMOWA LATEM 1981

Tylko upalne lato usprawiedliwiło go
że miał koszulkę z krótkimi rękawami
28356
siny tatuaż zagubiony w otoczeniu ręki

Nie przyjmował do wiadomości
tego wrzasku oskarżeń i gorączki

Nikt go nie rozumiał
i on nie rozumiał czemu ja wrzawa

O co chodzi? — pytał
O co chodzi?

Ce stało się takiego że jakiś prezes
coś ukradł albo może i nie ukradł
co znaczy ten krzyk kiedy
świat nie krzychał gdy numer
75328
dusił się męcząc błotem
wdeptany naszymi nogami w marsz
do jeszcze jednego dnia tamtego świata
którego już nikt nie rozumie

Tego nikt nie rozumie — powiedziałem —
także ja mogę tylko powiedzieć
— spokój panie Kaziu — spokój

Pan miał osiemnaście lat
Nie znalazł cesarza Tytusa
który wymyślił sto sposobów zabijania
i sto jeden sposobów umierania
Było to wiele wieków temu
i to nie był wcale
początek ludobójstwa
ponieważ ludobójstwo zaczęło się
razem z ludzkością

Minęło osiemnaście stuleci
zanim archeolog Lancini
odkrył rowy obok Colosseum

Duszący smród ludzkiej i bydłowej padliny
sprawił że włoscy robotnicy z terenu wykopali
ogłosili strajk

Strajk — panie Kaziu —
można ogłosić także wtedy
gdy ktoś przed laty
umarł niepotrzebną śmiercią

Więc niech pan nie pyta
o co chodzi

Zawsze chodzi o dziś

Marek Antoni Wasilewski

NIEWAŻNOSCI

Rozłożyste krzewy cielska rozpostarły
Pozłacane chmurki wełnią się w modrości.
Stary suchy słonecznik stoi choć umarły
Przy pasowej róży — jej królewskiej mości.

Radio coś sepleni i nikt go nie słucha,
Kapustniki trzepoczą zamiast płatków śniegu
Przekupka nastroszona jak spłoszony puchacz
Oslania swą truskawki jak kwoka-opiekun.

Obrażeni nabywcy wymyślają babie,
A ta fuka jak kotka przyłapana przez psa.
Zachwala swe truskawki, ale coraz słabiej,
Rozsiadłszy się jak kokosz — bazaru contessa.

Kwadrans życia minął i zapadł się w nicosć,
A przecież był i istniał, lecz przecieki przez palce.
Dwie sójki falsetami coś do siebie krzyczą,
Gdy ja przeżuwam to lato niby chleb z zakalcem.

Edward Popławski

MEDALE

kupowałem je systematycznie na czarnym rynku
na sztuki lub kilogramy
zakopywałem je w lesie by zdobyty niezbędny
patynę
potem nosiłem je po wewnętrznej stronie marynarki ze
strachu przed otoczeniem
ich olowiane oblicza wgniatyły się w siny
strach serca
dzisiaj rano przeczytałem że jestem jedynym
nie odznaczonym w tym kraju i że w
związku z nowym ustanowieniem sytuacji
odwrotna od zaistniałej — najbardziej w naszym kraju
zasłużyli są ci którzy posiadają
najmniej medali

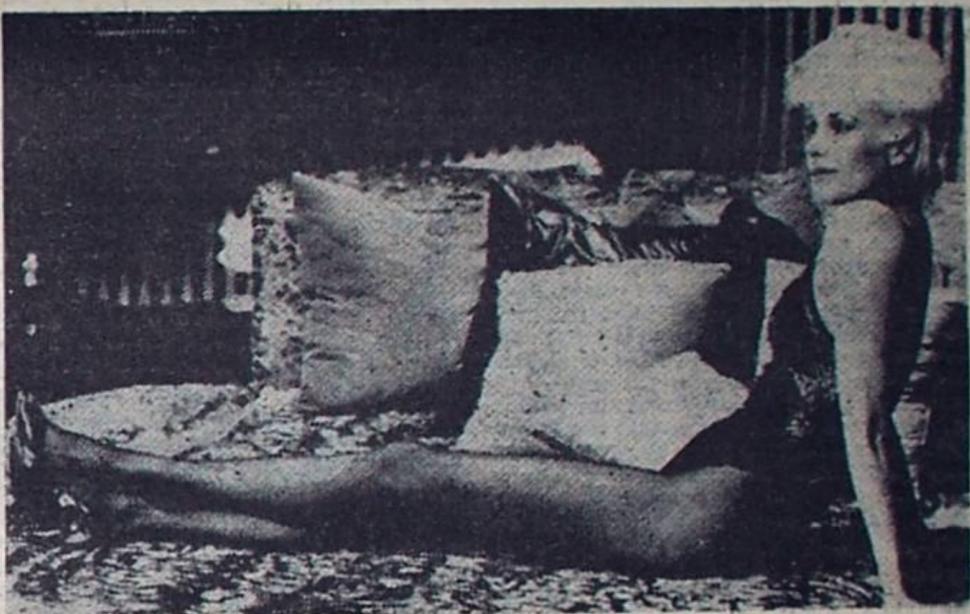
Ekran i widz

Ani taki suspens ani takie porno...

W ZWIĄZKU z pokazywanym obecnie na ekranach filmem „Świadek mimo woli” Briana De Palmy, recenzenci dość zgodnym chórem czynią podkreślać, że ten amerykański reżyser średniego pokolenia kontynuuje tradycje twórczości filmowej mistrza suspensu, Alfreda Hitchcocka. Jest to prawdą ale De Palma daleko do talentu i artystycznej wirtuozerii twórcy „Urzeczony”, „Nieznajomych z pociągu” czy „Okna na podwórzu”. Rację ma Zbigniew Pietera w swym „Leksykonie reżyserów filmowych”, gdy stwierdza, że „De Palma owe hitchcockowskie tradycje wzbogaca szokującymi pomysłami, łącząc wybuchającą fantastykę, obracającą się w kregu parapsychologii, sadyzmu, erotyzmu etc., z naturalizmem i agresywnością środków filmowych”. Słowa te trzeba n.b. przyjąć trochę „na wiarę”, bo jak dotąd, większość ludzi piszących w Polsce o filmie nie miała okazji oglądać tych licznych nakręconych przez De Palmę horrorów i thrillerów. „Świadek mimo woli” jest pierwszym filmem tego reżysera wprowadzonym na nasze ekrany.

Mnie „Świadek” jakoś nie zachwycił; być może zamiast tego dość miernego thrillera, nakręconego przed trzema laty, należało sprowadzić któregoś ze starszych, bardziej reprezentatywnych dzieł De Palmy, na przykład — „Carrie” (1976 r.) z Sissy Spacek w w roli głównej, czy też powstała w 1978 r. „The Fury” („Wściekłość”) z Kirkiem Douglasem, Johnem Cassavetesem i Carrie Snodgrass?

W „Świadku mimo woli” (skąd, notabene, ten dziwny polski tytuł, skoro oryginalny — to „Body Double”, co oznacza „dubierkę” czy też „zdublowane ciało”, wydaje się być o wiele bardziej chwytliwym?) można doszukiwać się — jak tego chcą niektórzy — jakichś tam podobieństw ze słynnym, powstałym w 1954 r. „Oknem na podwórzu” Alfreda Hitchcocka, w którym tak wspaniale zagrał duet: James Stewart — Grace Kelly. Ale tamten niezapomniany hitchcockowski „suspens” posłużył De Palmie jedynie jako swoista „ściągaczka”, jako pomysł do uzupełnienia przeciętnej innej filmu.



Alfred Hitchcock cały swój film oparł na genialnym w swej prostocie pomysłu. W „Oknie na podwórzu” unieruchomiony na wózku inwalidzkim, po złamaniu nogi, fotoreporter, obserwując z nów, przy pomocy teleobiektywu, to co się dzieje za oknem jego mieszkania, po drugiej stronie podwórza kamienicy, odkrywa, że mordercą kobiety z naprzeciwka jest jej własny mąż, przeciwko któremu policja nie mogła znaleźć żadnych dowodów. W „Świadku mimo woli” De Palma również opiera całą konstrukcję dramatyczną na motywie „podglądacza”. Ale u niego podpatrującym przy pomocy teleobiektywu intymne zachowanie się pięknej „sasiadki” (rozpoczynającej wieczór od eksycytującego strip-tease'u w jasno oświetlonym oknie) jest całkiem zdrowy osobnik, bezrobotny aktor filmów „wampirycznych” i czwartorzędnych „thrillerów”, którego perfidny przyjaciel, także aktor, usiłuje „wrobić” w ten sposób w rolę wygodnego „świadka” planowanego zabójstwa. I na tym kończą się tutaj jakiegokolwiek „powinowactwa” z filmem Hitchcocka, prowadzonym przy zachowaniu klasycznej „jedności miejsca” i z matematyczną precyzją.

De Palma prowadzi widza w „Świadku mimo woli” przez spowite nocą ulice i uliczki Hollywoodu, przez kulisy planów zdjęciowych drugorzędnych wytwórni filmowych, gdzie powstają opowieści o wampirach a także przez takie, gdzie kręci się filmy „porno”. W poszukiwaniu fascynującej go kobiety z okna bezrobotny aktor, Jake Scully, (cierpiący zresztą na klaustrofobię, co mu fatalnie przeszkadza w „kreowaniu” ról nieboszczyków-wampirów zamykanych w trumnach!) trafia nawet na plan filmu „porno”, którego główna bohaterka, zwana „Holly Body”, przypomina mu wyglądem „tajemniczą nieznajomą”. I oto w pewnym momencie odkrywa tajemnicę, dowiaduje się, że perfidnym zabójcą jest...

Ach nie, ja Państwu tego nie powiem, nie rozerwę kurtyny tajemnicy spowijającej finał filmu Briana De Palmy! Idźcie sami do kina i napatrzcie się do woli na te „ferie” nagich pośladek na ekranie, na fontanny krwi tryskające z jednej pani przewiercanej na wylot elektrycznym świdrem, na wilczurę skaczącą do gardła, na potwornego Indianina czubającego na śliczną Głorię i na tego wampira z kłami niczym u rekina głaszczącego na miętnie (w ekranowym zbliżeniu) piersi filmowej statystki...

Tylko proszę się nie spodziewać, że będzie „coś więcej”! Ani „porno” ani autentycznego „suspensu” w tym filmie się nie usłyszycie. A to dlatego, że reżyser jakby sam się w pewnym momencie pogubił i nie wie, o co mu właściwie chodzi: o erotyzm, o zagadkę kryminalną, o pokazane w „krzywym zwierciadle” pewnej hollywoodzkiej społeczności, czy też o złośliwy pastisz czwartorzędnych „thrillerów” oraz filmów „tylko dla dorosłych”? A przy tym wszystkim tu i ówdzie zawodzi go jeszcze i poczucie dobrego smaku.

Aby zaś raz jeszcze powrócić do Alfreda Hitchcocka, warto zacytować to, co mówił on kiedyś w rozmowie z François Truffautem na temat seksu w jego filmach:

„Kiedy dotykam problemu seksu na ekranie, nie zapominam, że również w tej dziedzinie wszystko jest podporządkowane zasadzie suspensu. Kiedy seks jest zbyt manifestacyjny, krzykliwy, nie ma suspensu. Czy takiego kierunku moim wyborem aktorek blondynek czy kobiet sofistycznych? Ja poszukuję kobiet wyjątkowych, prawdziwych dam, które w swoim życiu stały się dziwkami. Biedna Marilyn Monroe miała seks wymalowany na twarzy podobnie jak Brigitte Bardot, a to nie jest zbyt finezyjne [...] Seks nie powinien się przewijać”.

Oto jedna z różnic kina Hitchcocka i kina De Palmy...

M.D.

Amikeco trans la limoj — przyjaźń poprzez granice

Dokończenie ze str. 1

wo do swego języka narodowego, do swojej kultury. Jednak historia pokazała, że często prawo to jest gwałcone.

Sądze, że esperanto, potraktowane jako język międzynarodowy, daje większą gwarancję zabezpieczenia tego prawa, gdyż zapewnia równość wszystkich języków. Język międzynarodowy nie jest czykolwiek własnością, stanowi zjawisko neutralne. Żaden język narodowy nie pozwala osiągnąć takiej równości, jaka daje esperanto. Esperancka idea językowa jest, moim zdaniem, ideą głęboko humanitarną.

26 lipca 1987 roku minęło dokładnie sto lat od chwili, gdy białostocki lekarz okulista, Ludwik Zamenhof, który nie tylko leczył za darmo swoich ubogich pacjentów, lecz także sam chodził dla nich po leki, opublikował pierwszy podręcznik do nauki nowego języka międzynarodowego „Lingvo internacia” i podpisał go „Doktor Esperanto”, czyli „Doktor, który żywi nadzieję”. Była to kolejna próba zaferowania świata wspólnego źródła komunikowania się. Poprzednie (m.in. Karlexusza i Leibniza) nie powiodły się. Proponowany model okazał się zbyt sztuczny, zbyt strukturalnie skomplikowany, pozbawiony ducha uniwersalizmu. W przypadku esperanta tymczasem 75 proc. wyrazów podstawowych rozumieją Anglicy, 50 proc. narody germańskie, podobnie zresztą jak Słowianie. Prosta, pozbawiona nieregularności gramatyki, i stworzona z prawdziwą intuicją językową składnia czyni ten język naturalnie przystępnym także dla ludów azjatyckich. (Stąd m.in. ogromna popularność esperanta w Chinach).

Wiedziony duchem humanitaryzmu, niebaczny na różnice polityczne i gospodarcze dzielące świat, polski Don Kichot XIX wieku zaproponował alternatywę, która mogła przetrwać. Już w początkach naszego stulecia kilkanaście krajów europejskich posiadało własne związki narodowe esperanta. Dziś około dwu i pół miliona ludzi na całym świecie posługuje się tym językiem. W Polsce zarejestrowano około stu tysięcy mówiących po esperancu. Światowy Związek już od ponad dwudziestu lat jest cenionym członkiem UNESCO. (Mówił o tym w Warszawie sekretarz generalny tej organizacji). W różnych krajach powstają dziesiątki publikacji w tym języku, ukazują się około stu czasopism, zawiązują się zrzeszenia i organizacje specjalistyczne (nauczyciele, lekarzy, prawników). Ostatnio esperanto znalazło zastosowanie w informatyce, a jako tzw. międzyjęzyk ma szansę funkcjonowania w komputerowym programie DLT w Holandii.

W wielu krajach prowadzi się już eksperymenty z nauczaniem esperanto w szkołach, na przykład w Bułgarii i na Węgrzech, zaś uniwersytet w Budapeszcie posiada Wydział Filologii Es-

peranckiej. Esperanto ma zwolenników wśród dyplomatów, naukowców, działaczy społecznych, literatów. Esperantystą był prezydent Austrii, Franz Jonas, świetnie mówił w tym języku przewodniczący szwedzkiego parlamentu, Ingemar Bengtsson, postugiwali się nim profesorowie: Kotarbiński, Klemensiewicz, Groszkowski, a Julian Tuwim tłumaczył na esperanto polską poezję. Od wielu lat poszczególne rozgłośnie radiowe nadają audycje w języku esperanto. M.in. Polska, Chiny, Włochy, Jugosławia, Watykan. Swoje stałe spotkania w Międzygórzu odbywają esperanckie rodziny, bowiem wiele już par zawiązało ten język na ślubny kobierzec. Są małżeństwa polsko-włoskie, polsko-szwedzkie, polsko-japońskie, dla których esperanto jest narzędziem porozumiewania się w życiu codziennym. Wszystkie te sukcesy świadczą więc bez wątpienia o tym, że język ten służy dziś milionom ludzi na całym świecie.

— To taka międzynarodówka ludzi dobrej woli — powiedział mi Jan Klimek z redakcji esperanckiej Polskiego Radia. — W kręgu esperantystów znajduje się przyjaźń na całe życie. Poza tym ci ludzie stają się autentycznymi ambasadorami polskości. Za punkt honoru stawiają sobie pobyt w Warszawie, na grobie doktora Zamenhofa, a także w Białymstoku, jego rodzinnym mieście. Te miejsca tworzą jakby esperancką Mekkę i Medynę. O Polsce w gronie esperantystów nigdy nie mówi się źle. Wszak to ojczyzna ich języka. W tym środowisku nasze trudne sprawy traktowane są zawsze z sympatią i życzliwością. Polska stworzyła także kanon esperanckiej literatury: „Pan Tadeusz”, „Faraon”, „Quo vadis” — to właśnie filary tego kanonu. — przez ten język miłość człowieka do człowieka realizuje się w najprawdziwszej praktyce codziennych kontaktów.

Ponieważ esperanto oznacza nadzieję, naturalną więc koleją rzeczy oficjalnym kolorem ruchu stał się kolor zielony. Zielone gwiazdki zdobyły szyby zaparkowanych przed Pałacem Kultury samochodów, zielone były karty akredytacyjne uczestników kongresu, zieleni dominowali w dekoracji sal. Ta zieleni oznacza nadzieję na zrozumienie między ludźmi w chwili, gdy przestanie ich dzielić bariera językowa. Esperantystów bez wątpienia cechuje poczucie szczególnej wspólnoty. Zjawisko, które stało się fenomenem światowym budzi zarazem awoistą ufność. Jest żywym dowodem na to, że jedność świata nie musi oscylować w kategoriach abstrakcji.

— Esperanto jest wspaniałą szansą na równy start dla wszystkich — mówi John Wells, profesor lingwistyki stosowanej Uniwersytetu Londyńskiego. — Rozmawiamy teraz przykładowo po angielsku; ja posługuję się więc swoim językiem ojczystym, pan zaś musi się

w jakiś sposób do mnie dostosować. To mogłoby mi dawać poczucie pewnej przewagi. Gdybyśmy natomiast rozmawiali w esperanto, dla nas obu byłby to obcy-wspólny język. Tak należy rozumieć neutralność esperanta. Nie stoi za nim żadna siła gospodarcza ani militarna — tylko solidarność ludzka. Pomyślmy o trzecim świecie, dla którego język byłych kolonizatorów jest wyłączną drogą do uczestnictwa w międzynarodowym życiu. Czy to nie upokarzające? Esperanto byłoby alternatywą o wiele uczciwszą. Fenomen tego języka polega bowiem na tym, że mimo, iż jest on językiem w cudzysłowie sztucznym, okazał się zarazem jak najbardziej żywy. W sposób niezwykle utrafił w naturalne, lingwistyczne zdolności człowieka.

Kongresowi towarzyszyły przeglądy filmów, różnicowane tematycznie wystawy, spektakle teatralne. Wychodziła kongresowa gazeta. Wśród uczestników spotykało się bardzo wielu bardzo młodych ludzi. To gwarancja dalszego rozwoju tego języka, jego przyszłościowy kapitał. Z okazji stulecia esperanta firma „Polfrakt” wydała kasety z oryginalnym nagraniem głosu Ludwika Zamenhofa, hymnem esperanckim i piosenkami w tym języku. Na specjalnym stoisku można było nabyć podręczniki i taśmy magnetofonowe do nauki języka. Bez żadnej przesady dało się stwierdzić ów niezwykle fakt, że w końcowych dniach lipca Warszawa żyła esperantem. Pełno było zresztą esperantystów we wszystkich warszawskich hotelach.

Isaac Nassif z Egiptu przyjechał na kongres z żoną. Brał udział już w osiemnastu kongresach, także i tym, który odbywał się w Warszawie w 1959 roku. Jest pisarzem. — W swoich książkach — mówi — staram się poszukiwać tego, co łączy wszystkich ludzi mimo ich wielowyznaniowości i wielojęzyczności. Dlatego za najistotniejszą swoją publikację uważam pierwszy podręcznik do nauki esperanto w języku arabskim i pierwszy esperancko-arabski słownik.

Obchody stulecia esperanta nie kończą się na warszawskim kongresie. Wiele imprez odbędzie się także w Białymstoku, gdzie Światowy Związek planuje w najbliższej przyszłości budowę Międzynarodowego Centrum Esperanto. Uczestnicy zjazdu złożyli kwiaty na terenie byłego obozu zagłady w Treblince; zginęli tam członkowie najbliższej rodziny doktora Zamenhofa, w tym jego córka Lidia, tłumaczka „Quo vadis” na język esperanto. W przemówieniu inauguracyjnym kongresu przewodniczący Światowego Związku Esperanto nawiązał do tych faktów. „W rozwoju cywilizacji — powiedział — nauka i technika, zamiast służyć człowiekowi i występować w jego interesie, często służyły zniszczeniu i niosły śmierć. Czy

czytelnicy pierwszej książki Zamenhofa mogli przewidywać, że rodzina jej autora zniknie z powierzchni ziemi prawie bez śladu, jak zniknęły domy, w których mieszkał i ulice Warszawy, po których spacerowali? Esperanto przeżyło wszystkie wstrząsy i zawieruchy i cały czas, mimo wszelkie przeciwności, rozwijało się, wzbogacało środki wyrazu i w tym okresie osiągnęło pełną sprawność jako narzędzie komunikacji. Język, który zaferował ludzkości Zamenhof, to coś więcej niż propozycja rozwiązania problemów językowych w świecie, to próba przemiana ducha nierówności, nietolerancji, nienawiści, które targają współczesnym światem”.

Encyklopedia PWN pod hasłem „esperanto” informuje, iż język ten liczy sobie około stu tysięcy wyrazów, lecz fachowcy utrzymują, że jest to liczba wysoce zaniżona. Cała nowoczesna nomenklatura techniczna, słownictwo specjalistyczne z wielu dziedzin życia, kulturowe i literackie neologizmy szybko znajdują do esperanto swoją drogę. „Język doprowadził nas niemal do perfekcji — powiedział mi jeden z uczestników kongresu. — Teraz czas na jeszcze bardziej dynamiczną propagandę jego wartości. Trzeba kierować ją do młodych, rozwijać turystykę i organizować obozy językowe; przyciągać i ukazywać realne korzyści płynące z pokonywania bariery językowej. To nasza szansa, by esperanto opanoowało świat. Na pewno stałby się on dzięki temu odrobinę lepszy. Ten kongres nie stawia sobie za cel żadnych zadań teoretycznego forum. Jest po to, byśmy ze sobą rozmawiali. Rozmawiając, poznajemy się lepiej, a poznając się lepiej, zaczynamy dostrzegać wszystko to, co nas naprawdę łączy”.

Zasługi esperanta w wysiłkach na rzecz utrzymania pokoju są wysoko cenione przez międzynarodową społeczność. Nie bez symbolicznego znaczenia pozostaje tu fakt, iż w Niemczech hitlerowskich język ten został zakazany. Niechętnie widzi się go także wszędzie tam, gdzie przeważają tendencje dyskryminujące godność człowieka, w RPA, w Chile, na Haiti. Na otwarciu kongresu w Warszawie obecny był natomiast osobisty wysłannik sekretarza generalnego ONZ. Przy Światowym Związku istnieje Grupa Pokoju — organizator wielu marszów, biegów, wieców i innych antywojennych demonstracji. Marszałek Sejmu PRL, Roman Malinowski, objął honorowy protektorat nad imprezą. Polska, co naturalne, zawsze otaczała ten ruch życzliwością i poparciem, widząc w nim sprzymierzeńca w wysiłkach na rzecz rozbrojenia, szeroko rozumianej współpracy międzynarodowej, pokojowego dialogu współczesnego świata.

Ani się obejrzałem, kiedy i ja zacząłem wymieniać machinalnie pozdrowienie „saludo”, poddawać się tej różniwej atmosferze wspólnoty i jakby głębiej rozumieć sztandarowe hasło esperanta: „Amikeco trans la limoj” czyli „Przyjaźń poprzez granice”. W natłoku codziennych, groźnych i tak często przygnębiających doniesień ze świata pobyt na warszawskim kongresie był swoistym oczyszczeniem, oddechem nadziei, nagłośnieniem wiary w oczywisty przecież humanitaryzm człowieka i jego pragnienie, by zachować ludzkość dla następnych pokoleń.

Piotr Beck

„Documenta 8”

Dokończenie ze str. 3

się ucisku robotników przez kapitał. Dr Wenzel Jacob sam mi to zresztą wyjaśnił, wskazując nadto na społeczną symbolikę „Ogrodu radości” mo-nachijczyka Alberta Hienna (1956), który wykonał obiekt w formie aluminiowo-stalowego krupnioka, sprężonego z obracającą się (motorek elektryczny), wysoką na trzy i pół metra ślimacznica, jakby wyjętą z monstrualnej maszyny do mielenia mięsa. „Świat jako maszyna do kielbasy”, dopowiedział Jacob, 35-letni mieszkaniec Kolonii, autor programu „1000 mistrzów sztuki” w tamtejszej telewizji i wykładowca zachodniobermberskiej ASP.

Zapewne, takie podpowiadanie publiczności „co artysta chciał przez to powiedzieć” ma pewien sens dydaktyczny, ale zastosowane do twórczości próbującej interpretować problematykę społeczną podważa jej wiarygodność, lub przynosi efekty wręcz humorystyczne. Inna sprawa, że realizacje czytelne w przesłaniu, tłumaczące się same przez się systemem znaków plastycznych, także bywają kiepskie. Oto znany na Zachodzie duet: Vitali Komar (1943) i

Aleksandr Melamid (1946), artyści uznawani za twórców radzieckiej wersji pop-artu, którzy w 1977 roku wyemigrowali z ZSRR, by po krótkim pobycie w Izraelu osiąść w Nowym Jorku, otóż oni właśnie pokazali we Fridericianum, na dwóch stronach jednej ściany, ogromny poliptyk z kilkudziesięciu części, w których wypowiedzieli się osobiście i politycznie. Na ścianie pt. „Yalta 1945” znajdujemy wizerunki Churchilla, Roosevelta i Stalina, ikonę z Chrystusem, nagą kobietę na czworakach oraz swastykę rozwijającą się w świecznik żydowski. Z drugiej strony, od sufitu po podłogę, obserwujemy wyobrażenie „Winter in Moscow 1977”, zatem: drzewko choinkowe w naturalnej postaci, portrety pośmiertne Stalina i Hitlera oraz ogromne „wargi sromowe w kolorze świeżej wołowy, wymalowane dokładnie i oflankowane czerwoną kurtynką. Sens tej kompozycji wyjaśniano oczywiście we wspomnianych wydawnictwach, nadto jeden z autorów „dopowiadał” rzecz na filmie, który permanentnie wyświetlano w podziemiach Fridericianum, prezentując w ten sposób wielu uczestników wystawy i ich autokomentarze. Ale co z tego, skoro w realizacji byłych moskwiaków trudno doszukać się czegoś więcej nad trywialną pokraczną, intelektualnie jałową publicystyczną agilką? Najbardziej dramatyczna biografia człowieka i najczystsza intencja humanistyczna to zaledwie materiał, z którego ewentualnie można zrobić sztukę. Jeśli się potrafi...

Przykładem tej umiejętności są we Fridericianum akrylowe płótna Amerykanina Leona Goluba (1922), profesora sztuk wizualnych w Rutgers University, który od lat sześćdziesiątych uprawia twór-

czosć o charakterze krytyki społecznej. Obrazy pokazane przezeń w Kassel, w osobnej sali, podnoszą problematykę rasizmu w RPA, ale w sposób tyle wyrazisty i indywidualny w malarskim zapisie, co odległy od rozpowszechnionych u nas schematów publicystycznych, które zacieraają fakt, że w tamtym kraju czarni w służbie białych wrogo odnoszą się do odmiennie usytuowanych, własnych pobratymców.

W rejonach sztuki bezpośrednio reagującej na los człowieka najbardziej zaszkodził miłe przejęcie Robert Morris (1931), którego nazwisko tak mocno przylega do wypranego z jakichkolwiek treści ideologicznych i moralnych minimal-artu lat sześćdziesiątych. W Kassel Amerykanin pokazał trzy ciemne „oltarze” z mas plastycznych, włókna szklanego i aluminiowych prostokątów pokrytych enkaustyką, techniką stosowaną już w starożytności. Wainlejsze, że na takim podłożu Morris uformował w reliefie lub namalował stopy unieczwionych, spalonych sylwetek ludzkich, kreując w ten sposób metaforę bez wątpienia odnoszącą się do tragedii z czasów hitlerizmu. Oglądając te dzieła, wyraźnie zresztą skupiające uwagę publiczności, przypominam sobie wielkie, reliefowe obrazy Ryszarda Lisa, eksponowane na wystawach „Przeciw Wojnie” na Majdanku.

Ale „Documenta 8” zapamiętam głównie z powodu „Les larmes d’acier” Marie-Jo Lafontaine (1959) z Belgii, która z 27 monitorów telewizyjnych zbudowała ścianę w formie fasady świątyni greckiej, eksponując na ekranach sylwetkę młodego, obnażonego mężczyzny. Pojawiający się jednocześnie na

Wpuszczeni w kanał?

Dokończenie ze str. 1

z Dorohuczy, pójdziemy wszyscy na budowę kanału i przepracujemy trzy dni, pomagając przy robotach, które rozpoczyna się w najbliższy poniedziałek, 12 lipca...". Poparł go Eugeniusz Zuk, przewodniczący miejscowej organizacji ZMP.

Po 33 latach od owego zebrania chciałam spotkać zanotowanych przez reportera dorohuckich mówców. Niestety, Czerniak i Roczon spoczywają już na cmentarzu, Eugeniusz Zuk przenosił się do Lublina.

Ale w rozmowie ze starszymi mieszkańcami Dorohuczy coraz powtarzało się teraz nazwisko Ignacego Pastuszaka, mającego wówczas 80 lat, który pierwszy zgłosił się do czynu, stając się sławnym na całą Polskę.

— Pani wie — przypomniał ktoś z zebranych — pojechałem do znajomych do dalekiego Czaplinka. Wysiadłem z pociągu, a tu na stacji wisi portret dziadka Ignacego. Znajomi do mnie z pytaniami, co się dzieje w tej Dorohuczy, że dziadek Pastuszek taki ważny? Jak to, nie wiecie? Buduje się u nas kanał Wieprz-Krzna, a dziadek Pastuszek pierwszy poleciał do roboty.

W trzy lipcowe dni 1954 roku pierwszym budowniczym kanału — chłopom i zmoblizowanym przez nich robotnikom z lubelskich, kraśnickich, chełmskich i rejewieckich zakładów pracy — przygrywały przy karczowaniu i kopaniu orkiestry, występowali artyści (m. in. z Teatru Warszawskiego Okręgu Wojskowego), furkotowały szturmówki i transparenty, na których mowa była o sojuszu robotniczo-chłopskim. Odświętnie, mobilizująco.

Tylko gospodarze z Turowoli wypisali na transparentie: „Kanał Dobrej Nadziei”. Nagabywano ich, jak to rozumieją, czy nazwę przenoszą na całość budowy? Nie — odpowiadali — to, tak dla siebie, dla zachęty.

Pracowało teraz i później na całej długości przyszłego kanału, odcinkami i powiatami, po 150 — 600 — 1400 — 2000 osób. Torfy i bagna opierały się łopatom, ale zdarzały się rekordowe wykopy, dochodzące do 12 metrów sześciennych ziem w trzy czynowe dni!

Były to zresztą czasy ogólnego bicia rekordów pracy. Lublin w szalonym tempie odnawiał Stare Miasto, budował Podzamcze, adaptował Zamek Lubelski na cele kultury, remontował fródmięście, szykował się do Centralnej Wystawy Rolniczej i centralnych obchodów 10-lecia Polski Ludowej.

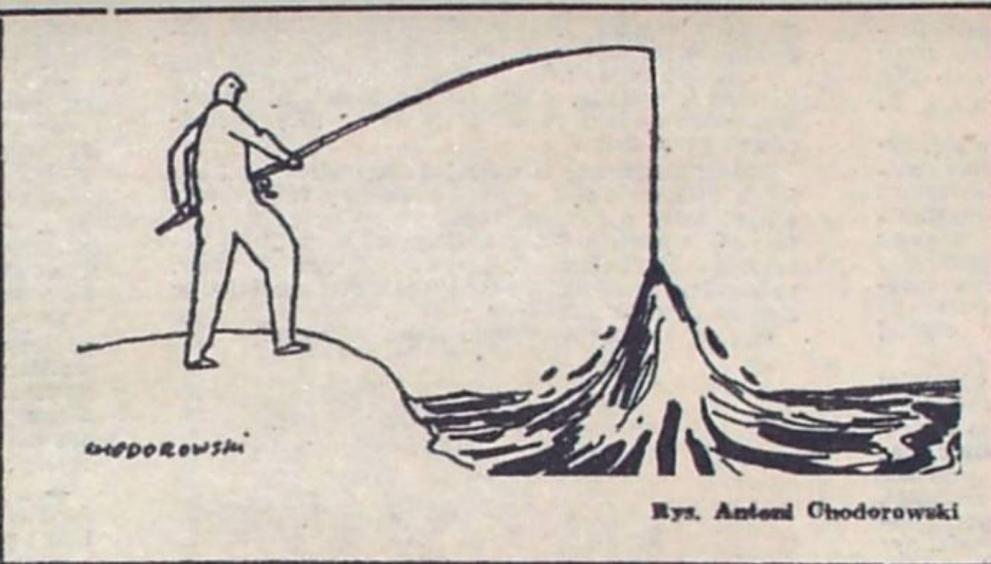
18 lipca do budowy kanału Wieprz-Krzna, na odcinku międzyrzeckim, „wprzęgnięto” radzieckie maszyny, 15-tonowy karczownik gąsienicowy o mocy 80 koni mechanicznych oraz pług do kopania rowów. Gotowe już były domki według projektu inż. Jana Kwapiszewskiego, kierownika Wydziału

Wodnego i Melioracji PWRN, koordynatora i szefa budowy kanału.

Domki okazały się bardzo przydatne dla meliorantów, mieściły 12 osób i najpotrzebniejsze sprzęty mieszkalne, miały też ogrzewanie. Na początek tymi kilkoma domkami, halą maszyn i halą montażową jakoś urządzono zaplecze techniczne budowy.

Wspominając inżyniera Kwapiszewskiego, wypada dodać, że oprócz kierowniczego nadzoru, jaki pełnił nad budową kanału, był on jego projektantem, podobnie, jak i inżynier Antoni Obuchowski. Pracowała tu doświadczona kadra polskich hydrotechników, wśród których można wymienić nazwiska inżynierów: Dogiła, Gierczaka, Kiszynskiego, Łojewskiego, Sagana, Rybaka... Sama zaś koncepcja melioracyjnego systemu kanału Wieprz-Krzna była, jak na owe czasy, śmiała i oryginalna, zarówno w rozmiarze przedsięwzięcia jak i rozwiązań technicznych.

Ale minęło 25 lat użytkowania kanału. Dorohuczanie, zagadnięci dzisiaj, co im ten kanał dał, odpowiadają tyle sceptycznie, co i z pewną dyplomacją, że może gdzieś indziej przyniósł więcej pożytku niż u nich.



Rys. Antoni Chodorowski

A w Dorohuczy? Jest, bo jest. Dzisiaj, z braku węgla (bo cóż to jest 14 metrów na gospodarstwo) rolnicy chętnie sięgnęliby po starodawny torf. Nie sięgną jednak, bo łąki przekopano rowami melioracyjnymi, i ani torfu, ani też wody. Dorohuczanie woleliby, aby ich Struga — zależna od kanału — sączyła wodę, ot, na wysokość chociażby 20 centymetrów, bo z kanału, choć pełny jest wody, pobierać jej nie wolno. Zgłaszały tę sprawę po wielokroć, ale bez efektu.

— No, bo z tym kanałem tak jest — tłumaczy mi ktoś pod sklepem — że jak ludzie idą kosić, wody w nim tak pełno, że podtapia łąki. Jak susza, to i sucho w rowach i kanałach. I jak tu płacić za udział w Spółdzielni Wodnej? Kiedy trzeba wody, to jej nie ma!

Czy zbierają więcej siana, jak to zapowiadano?

— Faktem jest — potwierdza sołtys, Józef Łukaszuk — że łąki obruszyło dobrze, do niektórych niegdyszy nie było nawet dostępu. Ile się zbiera siana? No, cóż — podlicza w myślach — jakieś 60 kwintali z hektara, nie więcej.

A powinno być więcej: 80 — 120 kwintali, tak przynajmniej obiecywano.

Głównymi uprawami w Dorohuczy jest tytoń, pomidory i fasolka, te ostatnie kontraktowane dla mielejskich zakładów przetwórstwa warzywnego. Poza tym — żyto, owies, ziemniaki, jak to na płaskach czwartej i piątej klasy.

— Nie ma nawet gdzie rozpędzić się kombajnem. W takiej Struży, Oleśnikach czy Biskupcach — z pewnym podziwem mówią sołtys — to zbierają więcej, większe są tam gospodarstwa. A tu za małe urodzaje. Godzina pracy kombajnu kosztuje dziesięć tysięcy złotych. Pani się dziwi, że chłopci wracają do kos i konnych kosiarek? Problem jest też z opakowaniami — nawiązuje sołtys do spraw kontraktacji pomidorów. — Gospodarze pilnują skrzynek, jak oka w głowie, no bo skąd je wziąć, kiedy ich brakuje?

— A hodowla?

Józef Łukaszuk wylicza:

— W jeden rok postawiliśmy w czynie społecznym szkołę. Innego znowu roku w same żniwa komitet budowy „poganiał” ludzi do budowy drogi. Teraz nawet ci, którzy narzekali, są bardzo z niej zadowoleni. Czekamy, kiedy ruszą roboty przy nowym moście. Wywłaszczaliśmy już gospodarza, by dać plac, tak był warunek przedsiębiorstwa robót drogowych. Plac jest, ale roboty jeszcze nie zaczęte. Po starym moście ani już przejechać wozem, a co mówić kombajnem. Zawisła sprawa wodociągu. Są wykopane dwie głębinowe studnie, zebrano podpisy na odpłatność za przyłączenie, ale osobom starszym, rencistom, trudno zdecydować się na taki wydatek. A kto za nich zapłaci? „Ursus”, który podjął się budowy wodociągu, mówi, że albo wszyscy podpiszą, albo nie zaczną roboty...

Dorohuczanie, choć leży nad rzeką Wieprz i nad kanałem, jest niedużą wioską, ot ma 240 dymów. Domki tu małe, jak koperty, szczyłkami wystawione do ulicy. Dziesięć gospodarstw przekazano już w tym roku na skarb państwa. Dorohucę przecina szosa T-12 biegnąca do Chełma i wiejska droga od łąk ku lasowi.

Kanał Wieprz-Krzna płynie na dobry skok od wsi. W ciągu 25 lat zdekapitalizowały się jego podstawowe urządzenia melioracyjne, zużyła się technicznie tzw. nitka kanału, zbyt mała okazała się jego pojemność użytkowa, osłabł stan techniczny zbiorników retencyjnych, a i one same również okazały się niewystarczające. Przepustowość tzw. doprowadzalników głównych stała się niższa od projektowanej, a nadmierne przecieki spowodowały podtapianie przyległych terenów oraz poważne straty wody. Wyszło na jaw wiele zaniedbań w konserwacji i eksploatacji urządzeń melioracyjnych. Gdy doda się do tego niespieszna realizacja inwestycji melioracyjnych, niedoinwestowanie i mizerny stan technicznego wyposażenia rolnictwa, niedostatek dróg, itp., czyż można się dziwić, iż wody w tym kanale niewiele dobrego przynoszą?

Gdyby nie było tego dość, w latach siedemdziesiątych kanał Wieprz-Krzna przestał być głównym czynnikiem kształtowania środowiska Polesia Lubelskiego. Weszło nań górnictwo, z całym, trudnym kompleksem problemów ekologicznych.

Jeżeli kanał ma się stać w przyszłości podstawą całej gospodarki wodnej znacznie większego niż obecnie systemu rolniczo-przemysłowego, to nie obejdzie się bez gruntownej i szybkiej jego modernizacji i odbudowy. To będzie kosztowało, nawet przy najoszczędniejszej weryfikacji problemów do załatwienia. Otworzyć będą się więc musiały kiesy województwa doń przylegających, a nawet i kiesza centralna. Symptomy zrozumienia ze strony władz już są, ale czas nie czeka i płynnie razem z wodą, która wypełniła mocno już nadwęzłony kanał zwany niegdyś „Kanałem Dobrej Nadziei”. Także i dla Dorohuczy, która jest na skok od niego.

Maria Denys

wszystkich monitorach, acz często w kilku różnych ujęciach, bohater tego videofilmu ćwiczył mięśnie przy pomocy urządzeń, które stanowią typowe wyposażenie tzw. siłowni zapasników i ciężarowców. Dramaturgię jego ruchów i gestów podkreślały odpowiednio: różnorodne dźwięki, muzyka i śpiew Marii Callas (oczywiście z taśmy). Było to widowisko fascynujące, była to apoteoza siły, młodości i ciała ludzkiego — budząca jednocześnie niepokój, którzy z kolei nieoczekiwanie przełamany się w groteskę.

Techniką video często posługiwano się na wystawach, nie wychodząc jednak poza granice mizernych efekcików. Znakomity wyjątek stanowiły tu 44 monitory Nam June Paika (1932), klasyka gatunku, który zarejestrował występ charczącego do mikrofonu Beuysa, w kontekście oświecających faljerwerków kolorowych form. Młoda zakonnica japońska tak się zapatrzyła na pulsujące monitory, że buty zgubiła zdjęte na okoliczność projekcji na ostatnim piętrze Fridericianum.

Na „Documenta 8” przeważały przeciwko obiektom budzące krótkotrwałe zainteresowanie, a spełniające się bez reszty w „pomysłach”, spektakularnych chwytach, ironicznych przyczynkach. Jeśli nawet cztery gilotyny Szkota Iana Hamiltona, Finlaya (1925) usytuowane na osi kończącej się realną rotundą klasycystyczną, w Karlsruhe, dawały powód do refleksji nad oświeceniową dialektyką terroru i cnoty to „Świątynia lodów” Thomasa Schütte z RFN (1954) okazała się tylko lodziarną, wzniesioną na planie koła z cegły cementówki i byłoby to może dowcipne, gdyby nie fatalna jakość owych lo-

dów, na które wydałem 2,5 marki, by zwałić się na łąkę w mdłościach. Nie pojmuję też, dlaczego Stefanowi Wewerce z RFN (1928) zafundowano, chyba znacznym kosztem, „Pawilon” ze stali, granitu i szkła, w którym ulokowano „fortepian” z drutami, krzeselka na trzech nóżkach i dwie panienki ciągnące piwo. Jeśli jednak chodziło o piwo, dobre niemieckie piwo, to i owszem, rozumiem sens inwestycji. Mimo wszystko, nad te obiekty przedkładam „Otomana” Amerykanina Scotta Burtona (1939), czyli marmurową, okrągłą ławę z oparciem o średnicy 10 metrów, wypełnioną w środku wielkim bukietem bambusów. Żyje ona w pełnej harmonii z naturalnym środowiskiem parkowej łąki, no i pełni jakąś ludzką funkcję.

Moim zdaniem, zabrakło na wystawie odpowiedniej reprezentacji dobrego, mądrego malarstwa. Ze niemalże zgiłotynowano „neue wilde” — znakomicie. (Kiedy wiadomość ta dotrze do Warszawy, może w publikacjach Tomasza Rudominy, których logika i aksjologia zdają się cierpieć na zaawansowaną chorobę św. Wita, rozpadnie się wreszcie żabodęty zachwyty nad popluczynami Zachodu w sztuce nadwiślańskiej). Zle natomiast, że z wybitnych malarzy współczesnych, mieszczących się w formule imprezy, pokazano tylko kilka indywidualności, w tym Anselma Kiefera z RFN (1945), którego obrazowe interpretacje mitów biją dziś w cenie prace Amerykanina Schnabla.

Polska obecność na „Documenta 8” była więcej niż skromna. W videotecie tkwiła kasetka Wojciecha Bruszewskiego, z projekcją na pomnik Fryderyka wystąpił Krzysztof Wodiczko, od roku 1977 przebywający zresztą z oceanem, gdzie dopracował się wartej uwagi pozycji. O „Akademii Ruchu” była już mowa, „Maszynie miłości i śmierci”. Kłopoty pokazano w ramach imprez towarzyszących „D8”. W sierpniu ma wystąpić w Kassel Z. Warpechowski.

Kiedy zapytałem dr. Jacoba, dlaczego w ogóle tak niewielu artystów z Europy wschodniej zaproszono na „D8”, tenże odparł: — „Nie interesuje nas sztuka pod dyktando państwa”. Kiedy oznajmiłem, że sztuka w Polsce jest wolna i swawolna, Jacob wyznał uczciwie, iż pociąga ich tylko to ze Wschodu, co mając znamiona nowości mieści się w nurcie sztuki zachodniej.

Jak widać, ciągle obowiązuje zasada, że są równi i równiejsi.

Ireneusz J. Kamiński

NOTA biograficzna: Adam Ochocki urodził się w 1913 r. w Łodzi. Tam też, mając lat osiemnaście, rozpoczął pracę dziennikarską w prywatnej agencji prasowej „Polpress”. Wkrótce został reporterem „Expressu wiedeńskiego ilustrowanego” i łódzkiej popołudniówki Wydawnictwa „Republika”.

Lata wojenne spędził w ZSRR. Opisuje je w pamiętniku pt. „Raz, dwa, wzięli”, który ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi. Obszerne fragmenty pamiętnika drukują „Odgłosy”. Autor udostępnił „Kamieni” całość swej pracy, udzielając zgody na dokonywanie przez redakcję skrótów. Są one, niestety, konieczne z uwagi na cykl wydawniczy naszego pisma, ale sądzimy, że wybrane przez nas fragmenty spowodują, iż czytelnicy sięgną po książkę, kiedy znajdzie się ona w sprzedaży. Wspomnienia Adama Ochockiego są niezwykle interesujące.

Autor, aresztowany w 1940 r. we Lwowie, znalazł się w obozie pracy

przemysłowej w Rybińsku. Później, po amnestii będącej wynikiem porozumienia gen. Sikorskiego ze Stalinem, wywedrował do Tadżykistanu, gdzie chwycił się różnych zawodów. W 1944 r. przeniósł się do Ulanujska i tam padł ofiarą prowokacji: uwięziono go pod zarzutem współpracy z Niemcami. Wszystko dobrze się skończyło, ale Adam Ochocki przeżył bardzo ciężkie chwile — o tym wszystkim będzie można poczytać w pamiętniku.

Dodajmy, że w marcu 1946 r. autor powrócił z ZSRR do Łodzi, tu pracował w miejscowej prasie, m.in. przez szesnaście lat piastował funkcję sekretarza redakcji „Karuzeli”. Od 1973 r. przebywa na emeryturze.

W swym dorobku Adam Ochocki ma m.in. album z przegodami Wicka i Wacka (wydany wspólnie z Wacławem Drozdowskim w 1948 r.), zbiory utworów satyrycznych „Skąd my się znamy” i „To ci kwiatki”, tom wspomnień dziennikarskich „Reporter przed konfesjonalem” (druga

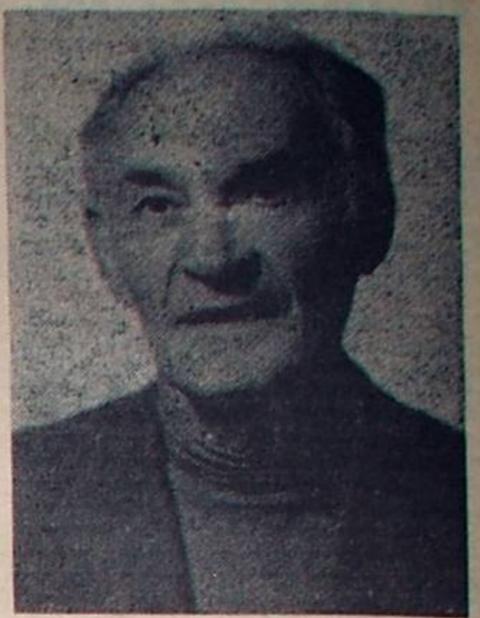
część tych wspomnień ukaże się w przyszłym roku).

Utwory Adama Ochockiego były tłumaczone na obce języki — m.in. rosyjski, bułgarski, węgierski, czeski, słowacki. W Tallinie w 1972 r. pod jego redakcją ukazał się wybór utworów satyrycznych autorów piszących do „Karuzeli” (pt. „Päise Karussello”), w książce znalazły się i prace A. Ochockiego.

Warto jeszcze zauważyć, że współpracował on również z teatrami lalek, cyrkami i filmem (zrealizowano jego 44 scenariusze do filmów krótkometrażowych), a ponadto przełożył ok. 2000 humoresek i opowiadań autorów z ZSRR, NRD i Czechosłowacji.

Zachęcamy do lektury drukowanych przez nas wspomnień Adama Ochockiego. O problemach trudnych, często bolesnych, pisze on z dziennikarską swadą, chwilami też z dużym humorem. Będziemy wdzięczni za listy i uwagi czytelników: przekażemy je autorowi.

(Red.)



Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (1)

MOGA być z tobą kłopoty — powiedział Stefan, przypatrując mi się tak, jakby mnie widział po raz pierwszy w życiu. — Ten nos, oczy...

W jego głosie poza troską o mnie dawała się wyznać pewność siebie. Mój kuzyn miał dobry wygląd, jak się wtedy mówiło. Blondyn o niebieskich oczach, pociągłej twarzy, wąskimi, wysklepionym nosie, smukły, wysportowany — nie nie wskazywało na jego pochodzenie. Sam Albert Rosenberg, ideolog hitlerizmu, pierwszy spec od spraw rasowych, bez mrugnęcia okiem zakwalifikowałby go na plaży dla tekstylnych jako nordyka czystej krwi.

Jechaliśmy pociągiem do Warszawy w kierunku wschodnich rubieży okupowanej Polski z zamiarem najszybszego przedostania się na terytorium Związku Radzieckiego. Była połowa listopada 1939 r., re. presje Niemców nasilały się: łapanki do przymusowych robót, kontrybucje, płonące synagogi, pierwsze gwiazdy Dawida na rękawach, prześlakowano o mających powstać gettach dla ludności żydowskiej.

Z Łodzi uciekliśmy pięć przed ówunastą, dziesiątego listopada. W przeddzień Święta Niepodległości Niemcy dokonali spustoszenia wśród przedstawicieli inteligencji, działaczy społecznych, naukowców. Ofiarą masowych aresztowań padli również nasi koleżdy dziennikarze, którzy nie zdążyli opuścić miasta, lub zdecydowali w nim pozostać „aż do wszystkiego się ułoży”...

Zajechaliśmy do brata, Ludwika Starackiego, na Żelazną 28 i opowiedziałem mu o swoich planach.

— Będziesz we Lwowie?

— Chcemy się tam zatrzymać ze Stefanem.

— Odszukaj Mundka Szlachtera. W drodze powrotnej z Jaremcza zostawił u niego walizkę z rzeczami Marysi. Przyda ci się.

Brata łączyła z Edmundem serdeczna przyjaźń. Szlachter pisał piosenki do filmów Lutka — „Robert i Bertrand”, „Paweł i Gawel”. Współpracował ze sobą do samej wojny.

Za całą gotówkę kupiłem trzy banknoty dwudziestodolarowe. Jak je ukryć, żeby nie wpadły w ręce Niemców? Postanowiłem włożyć je do pudełka od zapalek, przeszedłem niepostrzeżenie z ręką pudełko na ziemię, a gdy cała procedura skończyła się, podniosłem pudełko i jak gdyby nie widząc w dół, podniosłem je.

Nasz pociąg był przepelniony. Przeważała młodość, jak my, mężczyźni. Miał kto odważyć się zbierać w niepewne najbliższych. Ja i Stefan też zostawiliśmy w Łodzi i w Warszawie rodzinę. Chcieliśmy wyjechać z żoną, ponieważ namawiała nas, żeby opuścić miasto, gdzie wszyscy go znają. Nie chciał o tym słyszeć.

Okolo południa pociąg wjechał na stację w Malinku. Niemieccy żołdacy i wywie obokocyli w stronę Rudy feldfebel rozglądali się dookoła, jakby przypatrując kogoś znajomego. Wzrok jego padł na granolącego się z przedziału Stefana. Momentalnie znalazł się przy nim.

— Jude!

— Aber wo! — odparł kuzyn przystrajając twarz w mły uśmiech.

Rudzielec popatrzył na niego niezdeterminowany.

— Ausweis! — ryknął.

Stefan podał mu dowód osobisty. Feldfebel rzucił okiem na rubrykę „wyznanie”. Musiał, drań, zająć polski, bo trzepnął Stefana na odlew w twarz.

— Du verfluchter Jude! — pilił się. — Co masz za koffer? Aüfnäcken, szlisko, szlisko!

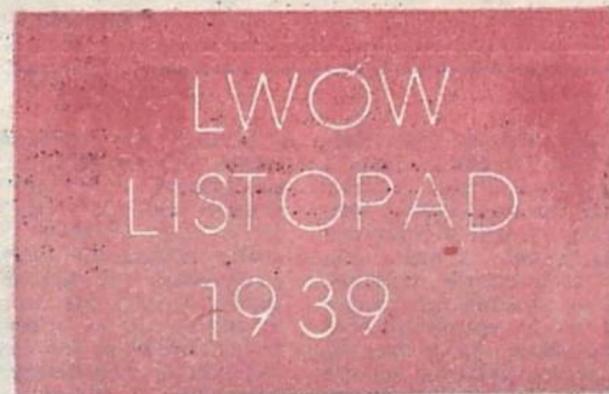
Uznałem moją dalszą obecność za bezcelową. Po drodze Stefanowi nie mogłem. Nie spiesząc się, przez siebie. Z przydworcowej oberży wysypała się grupa miejscowych chłopów. Rozprawiali o czymś z niewieniem. Wmieszaliśmy się między nich i głos-

no, żeby kręcący się dookoła Niemcy słyszeli, zagadnąłem jednego z gospodarzy:

— A dyć co wy tam, kumie, godocie? Latoś pyry kiepsko obrodziły, cosik mi się widzi, że zymby trza wam będzie powiesić na haku, klej przednówek przyńdzie...

Chłopi zbaranili. Szybko jednak zorientowali się, jeden ujął mnie pod pachę i poszliśmy w kierunku wsi biedoląc o naszych rolniczych kłopotach. Kątem oka ujrzałem Stefana. Obdarzony na drogę potężnym kopniakiem doszłusował do nas. Niemcy, zadowoleni z wyników rewizji, rehotali, wołając w ślad za przepuszczonymi:

— Los, los! Geht zu dem roten Paradies!



Pierwsze chaty ukazały się po kilkunastominutowej marszrutce. Zapytałem idącego koło mnie chłopca, czy będzie mógł nas przenocować.

— Całe obejście pamięsięnie — zamilował się. — Fura narodu zwała się w ostatnich dniach. A żaki od przedwczoraj nie otwierają granicy. Ale spojrzal na mnie ślepio — jakiś kąć się znalazł. W stodole pachnące siano...

Dopiero później dowiedziałem się, dlaczego Rosjanie wstrzymali czasowo dotychczas na ten terytorium kęć ludzki. Ruch przez pas neutralny odbywał się w dwóch kierunkach: z Polski do Rosji uciekali przeważnie Żydzi, z z kolei i osiedli radzieckich wędrowali do kraju rodzinnym Polacy, pragnący porzucić się ze swymi rodzinami. Przez pierwsze dni nie chciał wędrować z jednej strony do drugiej. Tu bezładna, puszczone na „sanotki”, wędrowka nędznych kryła w sobie ryzyko, toteż w obawie, aby niepożądane elementy nie przenikały na terytorium radzieckie i na odwrót — żeby esoby niepewne perytowanie nie przedostawały się do zajętego przez hitlerowców kraju — zastosowano środki ostrożności. Na razie opuszczono szlabany i zawracano wszystkich z drogi: tych, co szli na wschód, z powrotem do pasa neutralnego, tych, którzy chcieli przedostać się do Polski — na niemieckie zajęte przez wojska radzieckie.

Sytuacja nie wyglądała różowo. To po to odbyliśmy te drogi, narzucając się na szykany niemieckie, żeby wracać? Przecież Niemcy nie wpuszczą i powrotem — ani male „z tym nosem i oczyma”, ani Stefana „nordyka”...

Ala że ranoś mądrzejzą jest od wieczora, postanowiliśmy odpocząć i nazajutrz zastanowić się, co począć dalej. Zjedliśmy przywiezione produkty i udaliśmy się do stodoly. Zrzuciłem z siebie jesotkę, pantofle i zagrzebałem się w siano. Stefan uczył to samo, tylko nie ślagnął z nóg swych chłomowych butów z cholewami.

O świcie gospodyni przyniosła dzbanek mleka i pół bochenka wielkiego chleba. Nie ślagnął sta-

szuć o zapłacie. Z wyraźnym upodobaniem wpatrywała się w Stefana.

— I pan tyż musiał uciekać? Mówiom, że Niemcy tylko Żydków się czepiają.

Na dworze zbici w grupki uciekinierzy wiodli ożywione dyskusje. Co robić? Jak długo przyjdzie czekać na otwarcie granicy?

— Mam pomysł! — chwycił Stefana za rękaw. — Zaczekamy do nocy, a gdy się ściemni, pójdziemy gromadą. Przekroczymy pas neutralny śpiewając „Międzynarodówkę”. Zobaczysz, jeszcze nam zaszalutują!

Moja propozycja zyskała ogólną aprobatę. Po północy objuczeni walizkami i tobołami, pomaszeraliśmy zwartą grupą. Zaintonowaliśmy: „Wykłęty powstań ludu ziemi”, idący za mną podchwylił słowa pieśni. Strażnicy zdębieli. Uszliśmy może ze sto metrów, gdy niebo rozdarła świetlista raca i rozległy się wystrzały ostrzegawcze.

— Będą nas zawracać! Szybciej! — krzyknąłem do Stefana. — Popatrz, jakaś chalupa, skryjmy się tam i poczekajmy, aż to się przewali!

Po przystawionej do chaty drabinie wdrapaliśmy się na strych. Przez małe okienko mieliśmy widok na drogę. Noc była jasna, księżyc świecił jak szalony. Przed zdezorientowaną gromadą uciekinierów pojawiło się kilku krasnoarmiejców na koniach.

— A wy kuda? Dawaj nazad! — zawołał starszy na i popędził koluający się tłum w stronę pasa neutralnego. — Etoż bezobrazije, lej Bogu. Nado ożdat! prikaza, bez prikaza naczałstwa nielzia!

Stefan dygotał na całym ciele, ja nie straciłem rezonu:

— Uspokój się, nie wszystko przepadło. Za kilka minut spróbujemy indywidualnie.

Zagłębił się w las. Przed nami zabłysło światło latarki elektrycznej.

— No to koniec z nami... — jęknął mój towarzysz.

— Nie kraez. Stań i rób to, eo ja! — zakomendowałem.

Światelko zbliżało się z zawrotną szybkością. Przed nami wyrósł chudy jak tyka lejtnant w towarzystwie kilku żołnierzy z przewieszonymi przez ramie wintówkami.

— A wy kuda naprawiajete? — lejtnant zmieszył nas badawczym wzrokiem.

Zrobiłem pół obrotu do tyłu i pokazując na pas neutralny powiedziałem:

— Tuda, towarzysze lejtnant...

— Dawajcie nazad! — zawołał. — Skoriej!

Zrobiłem zawiedzioną minę, jak gdyby pokrzywano nam plany, i powlekliśmy się przez las w spragnionym kierunku — w stronę zajętych przez wojska radzieckie Zarebów Kościelnych. Stambąd mieliśmy udać się w dalszą drogę. Stefan koniec nie chciał zaważać e Białystok, dokąd wywedrował jego były szwagier.

Od Zarebów Kościelnych daliśmy nas sporo kilometrów. Na szczęście drogą przejeżdżała spóźniona podwoda. Woźnica na widok dwóch zmordowanych plechurów zatrzymał konia i zaproponował nam swój podskakujący na wybojach pojazd. Z kolei przedzieliliśmy się na łan „biedę”, z niej o świcie na wóz wyladowany siano. Gdy wreszcie dotarliśmy do celu, byliśmy u kresu sił. Dworzec i teren dookoła, jak okiem sięgnąć, pokrywało mrowie ludzkie. Ludzie wypatrywali pociągu mającego zawieźć ich, podobnie jak nas, do Białegostoku.

— Trzeba będzie poczekać, za tu się trochę przyedydzi — strzeliłem kalamburem, jakiego by się nie powstydzali redaktor „Majego Dziennika” i Napokalanowa czy innego „Orodowika”.

Nazajutrz zarolło się od nowych przybyszów.

— Jedzcie, jedzcie!

Wszystko, eo żywe, rzuciło się ku torom, po których dudnił zasapany pociąg.

— O dostaniu się drzwiami nie ma co marzyć — ocenilem w lot sytuację. — Walimy przez okno! Najpierw bambetle!

Nie zważając na przekleństwa współtowarzyszów, których jak taranem rozstrzącałem walizką, pochwatałem się do otwartego okna przedziału i

znasz, prasi! — moja walizka wylądowała na czołowej głowie. Druga poleciała w ślad za nią.

Białystok sprawiał wrażenie gigantycznego mrowiska, w które wsadzono przysiółkowy kij. Ulicami przelatywały się tłumy. Przechodnie poruszali się w przyspieszonym tempie, żywo gestykulując. Ich nieskoordynowane ruchy przywodziły na pamięć sceny z pierwszych slapstickowych filmów z Chaplinem i Mac Sennetem, kiedy to aparaty projekcyjne nie miały jeszcze krzyża maltańskiego i wszystkie na rozpiętym płótnie śmiało podskakiwały, każdy gest odbywał się jakby fazami. Gdyby zapytać kogoś z tej ruchliwej masy ludzkiej, dokąd tak się spieszy, na pewno nie potrafiłby wyjaśnić.

Nasze poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Nikt nie widział byłego szwagra Stefana, co gorsza, nikt go nie znał. Urządziliśmy, że nie ma tu czego oczekiwać. Pojechaliśmy do Lwowa.

Przed wojną znałem Lwów ze słyszenia. Regularnie nastawiałem radio na „Wesołą falę”, delectując się „baladkami” Szczepka i Tonka, ciotki Bandziuchowej i radcy Strofcia. Wiedziałem, że to stary szacowny gród z licznymi zabytkami kultury, że odbywają się tam „Targi Wschodnie”. Czytywałem wychodzące we Lwowie pisma: społeczno-literackie „Sygnali”, satyryczno-humorystyczne „Szczotka”, „Wiek Nowy”, „Słowo Polskie”. O ostatnim tytule nawet zapamiętałem anegdotek.

Do redakcji przyszedł facet pod dobrą datą i zapytał: — „Czy tutaj mieści się redakcja »Dupy«? — Ależ, panie, tu jest redakcja »Słowa Polskiego«! — Przepraszam, a czy dupa to nie polskie słowo?».

I wiedziałem, oczywiście, że przedstawicielem naszego „Ekspressu” na Lwów i całą Małopolskę jest Melman. Siedzibą redakcji i administracji było jego prywatne, parterowe mieszkanie, bodaj przy ulicy Paderewskiego. Gdy zjawiliśmy się tam ze Stefanem, o niedawnej przeszłości świadczył tylko jeden rekwiwit: wysłużony, biurowy „Remington”, na którym Melman przez lata mozolnie wystukiwał sensacje — o procesie Rity Gorgon, oskarżonej o zamordowanie kilkunastoletniej Lusi, córki swojego przyjaciela, architekta Zaremby, o „wampirze” Cybulskim, mordercy prostytutek, który zwabił do kiosku gazetowego...

Przywitała nas żona Melmana, atrakcyjna, czarująca, z pasmami siwych włosów, mimo młodego wieku (ile mogła mieć wtedy lat — chyba niewiele ponad trzydzieści). Pani Sonia energicznie się nami zajęła, mąż zalał wiał na mieście likwidacyjne sprawy „Ekspressu” i niebawem wrócił do domu.

Nie czekając na naszą prośbę, gospodarze z miejsca zaproponowali nam gościnę.

— Mamy cztery pokoje, poza nami dwójkiem mieszka tu jeszcze moja przyjaciółka, też z Łodzi. Salonik jest do dyspozycji panów. Proszę się czuć jak u siebie w domu!

Z lubością popatrzyłem na pianino.

— Można będzie czasem pobzdąkać?

— Pan gra?

— Ze słuchu, szlagiery...

— To świetnie! Będzie pan miał słuchaczkę i partnerkę w osobie Maryki. Ja się kiedyś uczyłam, ale nie z tego nie wyszło.

Maryka wróciła pod wieczór. Pracowała jako technolog w fabryce cukrów i czekolady „Branka”. Dogadaliśmy się, że jest siostrą mojego niezjącego już kolegi szkolnego Julka J.

Nazajutrz poszedłem ze Stefanem do dawnej kawiarni „George’a” na placu Marjackim. Spotkał się sporo łodzian.

Stefan siedział przy którymś z kółek stołki i z odwieczeniem o czymś rozprawiał. Wrócił w szampańskim humorze. Nie wypytywałem go o powód radości, tak bardzo nie liczącej z naszą sytuacją.

— Trzeba się zarejestrować — zakomunikował. — Bez tego nie ma mowy o znalezieniu czegoś. Jakże zawód podasz?

— Nie rozumiem...

— No co im powiesz? Chyba nie granasz się do dziennikarstwa?

— Dlaczego?

— Bo dla nich każdy dziennikarz z innego kraju to szpieg, rozumniesz? Dopiero był sobie napytał błędy! Musisz coś wymyślić.

— Przecież wiesz, że poza reporterką nie innego nie potrafisz.

— A prawo jazdy na kursach samochodowych Grętkiewiczza zrobisz? Szofer to dobrze płatna praca.

— Jak tam ze mną szofer? Nie chcąc próbnym już, nie siedziałem na kółkiem.

— To nie ma znaczenia. Poduczysz się.

— A ty? Jako kto się zarejestrujesz?

— Jeszcze nie wiem.

Zastosowałem się do jego rady. Bez gruntownej znajomości języka nie mogłem marzyć o dziennikarstwie. Zresztą chyba nie czekają na mnie...

Przedemną w kolejce do urzędnika rejestrującego „dziejów” (tak nas odgdy nazywano, niby to samo, co „niekier”, ale wymowa polityczna była inna) stał znajomy facet z Łodzi. Ku mojemu zdziwieniu podał, że jego ojciec był chałupnikiem.

— Ależ pan wymyślił — rozemniałem się, gdy przystępniliśmy na uboczu czekając na Stefana. — Pański ojciec chałupnikiem?

— A co, może nie? Miał w Łodzi dwie chałupy na Zgierskiej.

Stefan zdeklarował się jako kelner. To już było ponad moje siły!

— Czy wyście powariowali?

— Za dużo mówisz. Dobrze, żeś mnie posłuchał. Będzie jeszcze z ciebie Paganini kierownicy!

Ano zobaczymy. Na razie trzeba się jakoś zagospodarować, obsprawić, przecież z Łodzi prawie niczego nie zabrałem, a tu zima na karku.

(cdn.)

Zderzenia

COS DLA LENIWYCH ANIOŁÓW I NIE TYLKO

OJCOWIE MIASTA STOLECZNEGO WARSZAWY powzięli męską decyzję: oto na obrzeżach metropolii wybudowane zostaną lokale zasiepcze o niskim standardzie mieszkaniowym (tęć metrów kwadratowych na osobę, wspólne sanitarium, minimum wygod), w których znajdą przymusowe zameldowanie dozorey, owi leniwi Aniołowie, którym za żadne już pieniądze nie chce się spełniać swych obowiązków. Zamierzają je i porzucić, zajmując jednak nadal służbowe mieszkania. Ojcowie Warszawy powiedzieli więc: basta. Około 300 leniwych dozorców wykwaterowanych zostanie do baraków, pawilonów o niskim standardzie lub starego budownictwa na peryferiach miasta. I bardzo dobrze.

Za przykładem Warszawy śmiało mogłyby pójść i Lublin, rozszerzając listę wykwaterowanych na tych mieszkańców, którzy dewastują nowe, przydzielone im mieszkania, zakładając w nich pijackie meliny, o czym niejednokrotnie donosiła lokalna prasa.

ŁATWIEJ O DRUT NIŻ ...

„SZTANDAR LUDU” Z LIPCA 1954 ROKU, takie oto cytował przykłady z ówczesnego, codziennego życia: „Bardzo niegrzecznie — ganił — zachowała się bufetowa w barze »Ptyś« przy ulicy 1 Maja w stosunku do naszego czytelnika ob. J. G. Nie dość, że nie chciała sprzedać zamówionych napojów, ale nie wydała nawet książki zażalenia, do której ob. J. G. chciał wpisać swoje uwagi”. W innym zaś drobiazgu, podawał taki fakt: „Brańkorstwo i brak dozoru cechuje widać. Zakłady Cukiernicze im. 32 Lipca, skono wypuszczają na rynek wyroby z drutem. Kawalek drutu znaleziono właśnie w 1 kilogramie bloku kakaowego zakupionego w lubelskich »Delikatessach«”.

Czy coś się zmieniło od tamtego czasu? Chyba tylko to, że łatwiej obecnie o drut niż kaka. Łatwiej też o książkę zażalenia niż o napoje w upalne, lipcowe dni. No i „Delikatessy” pozostały już tylko z nazwy. A tak poza tym — bez zmian.

CHOCHLIK W „KULTURZE”

LATO SPRZYJA CHOCHLIKOM. W 20 numerze „Kultury” z 22 lipca br., artykuł Eleonory i Bronisława Sydzaków pt. „Akt pierwszy i decydujący”, będący cytatem rozważań o losach pol-

skiej rewolucji, zilustrowany został zdjęciem ze zbiorów Centralnego Archiwum KC PZPR, przedstawiającym...

Zgodnie z podpisem miała to być siedziba PKWN w Chełmie, de facto siedziba PKWN w Lublinie przy dawnej ulicy Spokojnej 4. Gmachy te różnią się swoją architekturą w sposób znaczny, ale chochlikowi, złośliwej bestii, coś się jednak pomieszało!

CZY TO JUŻ?

NIE SPOSOB PRZEŻYC DNIA BEZ KOLIZJI z... handlem. Jak nie brak czegoś, to znowu kwaśny ser, jak nie ser, to nieuprzejma obsługa, jak nie obsługa, to niby-remont i tak w koło Macieju.

W sklepie spożywczym przy ulicy Wołodyjowskiego (osiedle im. Henryka Sienkiewicza w Lublinie) w pewien lipcowy poniedziałek wystawiono na półki słodki z miodem, dżemem i sałatką warzywną. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że słodki z owymi wyrobami odznaczał się wyjątkową temperaturą, taką, jakby je kto podgrzał.

Na zapytanie klientów, co jest tego przyczyną, bystra kasjerka — widać specjalnie wyszkolona na okoliczność takich i innych indagacji — odrzekła, że to nie ona podgrzała owe słodki na maszynie elektrycznej. — Więc kto? — dociekał klient. — To producent, u niego reklamujcie — odcinała się od sprawy owa kasjerka. — Ale producent jest daleko, co wynika z adresu — nie ustępował klient — więc towar musiał się „zagotować” albo w transporcie albo sklepowym magazynie. Panie widać nie zwracają uwagi na jakość towaru, który przyjmujecie? — Do producenta, do producenta z tymi uwagami, bo ja na maszynce tego nie podgrzewałam — z niezmaczoną arogancją odpowiadała dalej kasjerka.

Czy to już — chciałoby się zawołać wielkim głosem — jest ten drugi etap reformy, czy będzie jeszcze gorzej?

NA KOLONII ŻYCIE PLYNIE...

...I FAJNIE JEST. Apol, śniadanie i na wycieczkę. Grupa maluchów idzie zwiedzać były obóz zagłady na Majdanku. Już od kolejni poprzedniego dnia czeka się maluchy, że zobaczą obóz, komery gazowe i krematorium. Pierwsze jednakie rozczarowanie spotyka je przed wejściem do muzealnego kina. — Co, od 16 lat dozwolone? — dziwią się maluchy i niewiele starsi od nich

wychowawcy, nieświadomi widać zarządzenia ministra oświaty i wychowania zezwalającego na zwiedzanie muzeów martyrologii, m.in. i Majdanka młodzieży od lat 14, filmu zaś dokumentalnego oglądania widzom od lat 15.

— Dzieci gorsze rzeczy oglądają w telewizji — tłumacza naukowcy, wychowawcy kolonii. — Tutaj, na Majdanku, nie ma niczego „specjalnego” — argumentują.

— Niczego?

I pewnie dlatego, w dezekonanii tych pedagogów, że Muzeum na Majdanku to nie „straszny” prowadzone są tam latem grupy maluchów, które nudzą się, ganiają po barakach — ekspozycję dzielą się — jak to dzieci — drwiącymi uwagami, a zmęczone upałem i chodzeniem, kładą się na obrzeża urny z prochami pod Mauzoleum... licytując się, który z nich skoczy na przeme, by zebrać rzucone przez innych „turyistów” monety.

A wychowawcy? Wychowawcy w cieniu budek strażniczych roztrząsają sobie wladome problemy, nie interesując się tym, jak powierzone im dzieci zachowują się w tych szczególnych obiektach. Na zwrócenie przez kogoś ze zwiedzających lub przewodnika innej grupy uwagi, nieśpiesznie sadzają dzieci na schodkach Mauzoleum, trasując przeście. Co im tam, że inne grupy nadchodzą, ich dzieci muszą odpocząć w cieniu...

Takie i inne obrazki z życia kolonistów krajowych i zagranicznych, których coraz to więcej z każdym letnim sezonem przybywa do Lublina, można zaobserwować w mieście. W murach i obiektach sakralnych charakterystyka się te grupy nadmierną hałaśliwością, nieodpowiednim strojem, brakiem dyscypliny. Wychowawcy jakby nie było, albo zupełnie nie rozumieją funkcji, jakie się podjęli. Trudno tym wychowawcom wytłumaczyć, że na przykład w chałupach lubelskiego skansenu nie sposób zmieścić jednorazowo 50 osób, a przewodnikowi w takiej ciżbie objaśnić, pokazywać i pilnować, by turyści owi czegoś nie spocili. Wreszcie, że detykanie, przenoszenie eksponatów, rwanie kwiatów, łamanie płotów, łażenie po nie przeznaczonym do zwiedzania terenie, śmiecenie, rysowanie znaków i napisów jest naganne.

— Ale na kolonii fajnie jest. Luksus i swoboda...

Jaka więc korzyść ze zwiedzania? Cóż klient płaci i nie dość tym go nie obchodzi. Byłe „odfajkować” program krajoznawczy z aspektem ideowo-wychowawczym. A że bez należytej opieki i fachowości opiekunów...

Nie to, na kolonii i tak życie płynie!

(doy)

Uwaga młodzi twórcy!

Wydawnictwo Książkowe MAW uprzejmie informuje młodych twórców (poetów, prozaików), którzy nie debiutowali jeszcze samodzielną książką, o podjętej z myślą o nich nowej inicjatywie wydawniczej — Almanachu Młodych. Almanach ma charakter wydawnictwa cyklicznego — kolejne tomy ukazywać się będą co dwa lata.

Pierwszy tom — „Almanach Młodych 1966—67” — zawierał będzie m.in. wybory tekstów laureatów konkursów zorganizowanych przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą w 1966 roku. Prezentowane będą także teksty autorów, których książki obecnie przygotowuje MAW oraz te spośród tekstów nadesłanych, które mają charakter oryginalnych artystycznych propozycji i mogą się okazać zapowiedzią przyszłych debiutów książkowych ich autorów. Teksty poprzedzają komentarze krytyczne, które mamy nadzieję, staną się cenną pomocą warsztatową dla młodych i początkujących autorów. Książka będzie ilustrowana reprodukcjami prac młodych artystów.

Prosimy zainteresowanych autorów o nadsyłanie tekstów (wierszy, opowiadań, fragmentów powieści) w terminie przedłużonym do 30 września 1967 roku. W przypadku próby objętość tekstu nie powinna przekraczać jednego akusza autorstwa (ok. 20 stron); w przypadku poezji — dziesięciu utworów. Do kółków powinna być dołączona nota biograficzna.

Nasz adres:

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza

Redakcja Wydawnictw

Młodego Ruchu Artystycznego

i Debiutów (Almanach Młodych)

04-023 Warszawa, Al. Ślania Zjednoczonych 33

kamena

11

Z teki Edwarda Pytlika



Archiwum mistrzów anegdoty

Znany komediopisarz francuski, Franciszek Molnar, słynął z długiego przebywania w łóżku. Pewnego dnia dostał wezwanie do sądu w charakterze świadka na godzinę dziewiątą rano. Przyjaciel Molnara, w którego interesie leżało, aby pisarz był na rozprawie, postanowił u niego przenoćować. Chciał on Molnar wstać przed dziewiątą i zdążyć na czas do sądu.

O godzinie 8.30 obaj przyjaciele znaleźli się na ulicy, a Molnar oczywiście zaspany. Nie mógł się nadziwić, gdy trochę oprzytomiał, że na ulicy panował o tak wczesnej porze tak duży ruch.

— Słuchaj — zapytał przyjaciel — czy ci wszyscy ludzie, to też twój świadekowie?

W czasie, kiedy wystawiano w Paryżu sztukę Woltera „Edyp”, autor osadzony był z rozkazu regenta w Bastylii. Regentowi tak spodobała się sztuka, że postanowił wypuścić Woltera na wolność. Kiedy Wolter dziękował regentowi za ten akt łaski, ten powiedział:

— Trzymaj się pan dobrze, a ja się będę o pana troszczył.

— Dziękuję, Waszej Wysokości — odrzekł Wolter — tylko bardzo proszę nie troszczyć się więcej o moje mieszkanie.

Znany krytyk szkocki, Eden Phillpotts, po krótkiej wycieczce do Londynu wracał do szkockich jezior, gdzie spędził żywot w maleńkim domku od dziesięciu miesięcy. Musiał jednak znocować w czasie podróży w miasteczku Laith, gdyż prom przez rzekę Clyde był już nieczynny. Następnego dnia niezadowolony przynęblony uskarżał się właścicielowi hoteliku przy śniadaniu na twardego siennika, który przecież miał służyć do wypoczynku.

Gospodarz hotelu gorąco zaprotestował i z dramatycznym gestem rzekł:

— Czy pan wie, że w 1816 roku na tym samym łóżku spał książę Wellington?

— No tak, ale go nie bez kozery nazywano żelaznym księciem!

Przygotował:
Ryszard Dunin

Marek Adam Jaworski

PLUS KOMENTARZ

Świat się śmieje. Trzeci również?

Myślenie ma kolosalną przyszłość. Ad calendar Graecas!

Polak, Węgier — dwa bratanki. Zwłaszcza na węgierskiej granicy...

Gwiazdy patrzą na nas... Szczyt ludzkiego egocentryzmu!

Gość w dom, Bóg w dom. Przy obecnym zapatrzeniu?

Uczucie nie zna granic. Jak dolar.

Kłamstwo ma krótkie nogi. Prawda — długie protezy.

Świta. Więc piejmy!

Nie czas żałować róż, gdy ploną lasy. Ale róże rosą w moim ogrodzie!

Rząd pracuje przy otwartej kurtynie. Ciągle nie wiem, czy na tej scenie więcej dramatów czy komedii?

Po trupach do celu. Śpieszył się na strzelnicę.

Krzyżówka nr 14 z szyfrem

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru do redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12 Z SZYFREM
Pozłomo: wierzchołek, restauracja, kąpiel, działka, oficyna, zaćma, Apacz, kobza, salut, Nyja, halas, atak, zycie, omlet, kask, rożek, prąd, Bars, Piotr, nakaz, antał, rozruch, Lechita, trofeum, Kongresówka, archaizacja.

Płonowo: wykaz, barak, Adyga, rozum, Strug, aneks, hullaj, spahis, Parki, łódka, odlew, chart, kłusza, oracja, reszka, Enelda, osłka, skarb, kwarc, zaspas, aromat, rzutki, skoda, akcja, nafta, ulewa, amant, Lomza.

SZYFR
...człowiek — materia złożona, tajemnicze ma sporo, lecz potrafi uwierzyć, gdy jemu uwierza.

Włodzimierz Sokorski „Kroki”

Nagrodę wylosowała Joanna Zawadzka 37-400 Nisko, ul. Rzeszowska 23/26.

Pozłomo: A. zasuwa jazu wodnego przy miynie ■ uchwył, trzonek narzędzia, B. dramaturgicznie zamknięty fragment filmu, C. wynagrodzenie dla pośrednika ■ karanie przez państwo, D. generał w Powstaniu Listopadowym, E. skład broni ■ kontroler jakości, F. staroskandy-nawska legenda ■ niechęć, G. otwór w ścianie ■ nurł ■ pod kranem ■ dostarcza wodę pitną do Krakowa, H. para artystów ■ szerokość tkaniny, I. na ekranie, estradzie lub firmamencie ■ powinna być podstawą ceny, J. przy fortepianie przed koncertem, K. uzdrowisko pod Wałbrzychem ■ zdają egzaminy po domowej nauce, L. mały kwiatek z wieloma płatkami, M. zaplęte pod szyją ■ dawnych utanów ■ rozbija się na szybie samochodu.

Płonowo: 1. barwnik wytwarzany przez maitwy ■ jesienny grzyb, 2. ma go płaszcz a nie ma peleryna, 3. obwieszczenie ■ miękka skórka do przecierania okularów, 4. okres dziejów, 5. Troja ■ widziadło, 6. założyciel węgierskiej dynastii, 8. na dnie szklanki ■ siedziba Temidy ■ bywają na bazie majonezu lub ketchupu, 9. droga nad drogą, 11. dawna miła pojemności blińska ■ trowi ■ zmartwienie, 13. choroba gardła ■ nie lubiany dzieciak, 15. główne miasto wach, Słowacji, 16. ozdoba, nieszyta suknia w Indiach ■ głos kobiecy ■ legendarny król z dramatu Szekspira, 18. pokaz, parada, 19. gasienica ■ sjeje ja stara panna, 20. miara drogich kamieni, 21. popularne drzewo iglaste ■ dzieło plastyka, 22. roz-bójnik, 23. idzie za plugiem ■ do mocowania cholewki na kopycie.

SZYFR
B10, M7, G4 /D14, M21, J15, D15, C23/ E5, E1, /J8, B11, A8, C7, G3/ I15, K13, C4, A5, G16, F2 /K8, D13, K7, J12, C20, K22/ G22, M8, I23 /A7, F9, C13, I21, H8, D12, H15/ B15, F16, A22 /E17, F11, E2, I4, M6, K20, I9/

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	
A																								
B																								
C																								
D																								
E																								
F																								
G																								
H																								
I																								
J																								
K																								
L																								
M																								

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego Graż Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasicki (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator) Redaktor techniczny — Ewa Dybek korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.
Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. P.KWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza NSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 232-30.
Adres redakcji 20-629 Lublin ul. Skłodowskiej 21.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny z-ca redaktora naczelnego 233-83, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 278-93. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1428 4.08.1987. Z-3